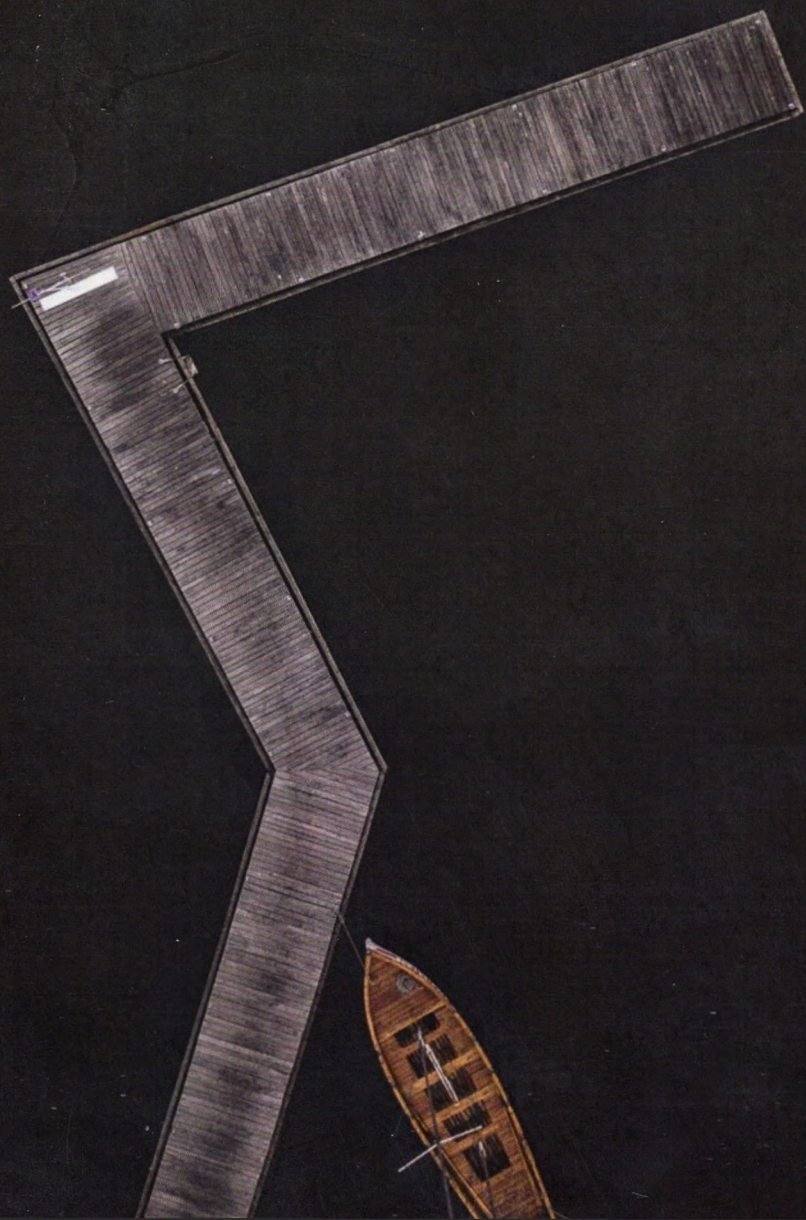


Gazeta Sremska

7-8/2020
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
lipiec/sierpień
XXX
cena 5 zł





Wydarzenia w Poznaniu

SLOW GRAPHIC DAYS

Piotr Gonzaga Myszkowski PL
Mark Maksimovich BY
Alex Novitski CA
Carl Smith USA
Ksenia Vysotskaya BY
Anna Waluś PL
Krzysztof Balcerowiak PL
Ivan Rusachek BY
Juan Pinilla Gonzales ES
Adrianna Rykaluk PL
Dominik Kuzuś PL
Katarzyna Kujawa PL
Patrycja Rusin PL
Lizaveta Kesauri GEO

MUZEUM
S R E M S K I E

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL GRAFIKI

WERNISAŻ **3.07.2020 G:19:00**

FINISAŻ **2.08.2020**

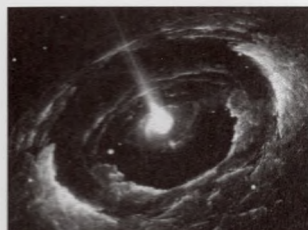




Moje wspomnienia Sierpnia 1980

Wspomnienia Jana Mieloszyńskiego o jedynym strajku solidarnościowym w Śremie w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Usług Komunalnych o/Śrem przed podpisaniem porozumień sierpniowych.

str. 07



Banialuki

Katarzyna Gwincińska zastanawia się, czy dawać wiarę osiągnięciom współczesnej nauki, skoro nawet sama nauka nie jest ich pewna, a jej twierdzenia w dużej mierze są ciągle niesprawdzone.

str. 09



Muzyka na lato

Pierwszy tekst nowego cyklu *Wszystko gra*. Ewa Biały pisze o ludziach, epokach, kompozytorach, utworach i inspiracjach. W tym odcinku Antonio Vivaldi i jego Cztery pory roku.

str. 31

Spis treści

- | | |
|--|---|
| str. 02 Muzealne odkrywki: Tropem wiśniowego soku | str. 36 Nasz Talent: Dobrochna Łowicka |
| str. 03 Antoni Baraniak | str. 38 Kino niewidzialne: Trylogia <i>Apu</i> |
| str. 07 Moje wspomnienia Sierpnia 1980 | str. 40 Z górnej półki: Ewa z raju wyzwolona |
| str. 09 Nie samym chlebem: Banialuki | str. 42 Recepta seniora |
| str. 13 Z pamiętnika starego: Wyjście | str. 44 Taniec śmierci. Drzeworyty Hansa Holbeina |
| str. 16 Na tropach lodowca. Część 6. Głazy polodowcowe | str. 46 B&B przez Ameryki: Kolumbia! |
| str. 21 Jestem, więc pytam: Maski | str. 49 Okiem belfra: Na szlaku szkolnych reform |
| str. 24 Warto przypomnieć: Odeszli na zawsze | str. 50 Wieści z ratusza |
| str. 26 Rzeczy minione: Dyskietka | str. 53 Muzeum – wydarzenia |
| str. 27 Opowiadanie Marty Tok: Odette | str. 56 ŚÓK – wydarzenia |
| str. 30 Sentymenty: Zabawy letowe u „Kuby” | str. 58 Biblioteka – wydarzenia |
| str. 31 Wszystko gra: Muzyka na lato | |
| str. 34 Kwestionariusz kultury: Adam Podsiadły | |

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

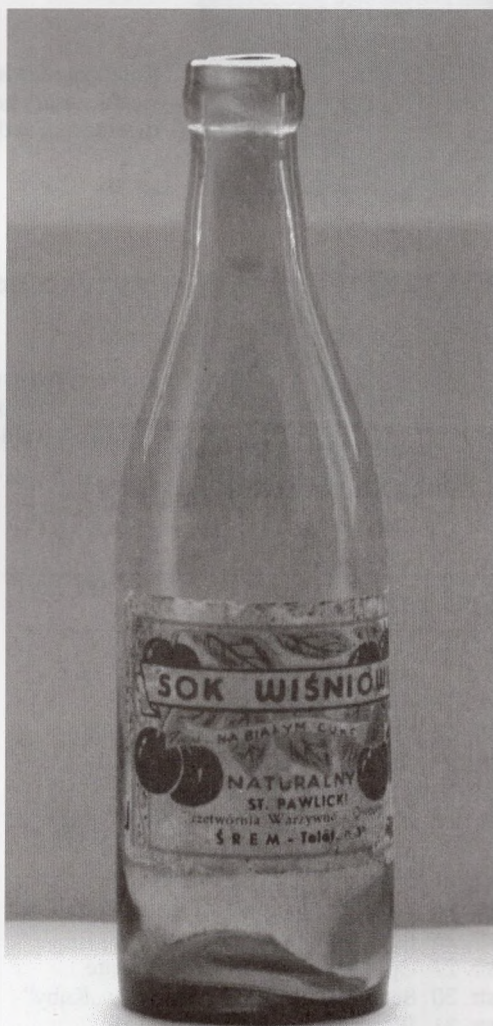
Tropem wiśniowego soku

Na strychu dawnego sklepu w Książu nowi właściciele odkryli kilka skarbów. Między innymi kolekcję przepięknych buteleczek po napojach, płynnych przyprawach i chemikaliach, w większości z papierowymi etykietami. Wśród nich dwie o klasycznym kształcie i zniewalającym, jasnozielonym kolorze – butelki po soku wiśniowym (na białym cukrze!) firmowanym nazwiskiem St. Pawlicki Śrem.

Chwila zastanowienia... Tak! Wiemy co nieco o tym przedsiębiorcy. Stefan Pawlicki urodził się 11 czerwca 1895 roku w Śremie jako syn Franciszka i Anny z d. Tadeuszczyk. Brał udział w powstaniu wielkopolskim. Był zweryfikowanym w 1938 roku członkiem Związku Powstańców Wielkopolskich. Według sprawozdania Posterunku Policji Państwowej w Śremie z 29 września 1936 roku: „lat 41, kupiec-grosista i właściciel domu, nie karany, opinię ma bardzo dobrą, sympatyk Stronnictwa Narodowego”. Sprawozdanie przygotowano dla starosty przy zakładaniu przez Stefana Pawlickiego i 16 innych rzutkich obywateli Kasy Bezprocentowego Kredytu Rzemiosła Chrześcijańskiego w Śremie. Grosista to po prostu hurtownik. Przypuszczać zatem należy, że sam nie produkował tego soku wiśniowego, chociaż sprzedawał go z własną etykietą.

Niektórzy pewnie kojarzą pana Stefana ze znaną okupacyjną przygodą Kazimierza Forszpaniaka „Kulotko”, który jako siedemnastolatek wysłany przez żonę swojego pryncypała Mariana Ernsta, ruszył rowerem do Witaszyc (ponad 50 km), by uprzedzić Stefana Pawlickiego o mającym nastąpić aresztowaniu. Było to w październiku 1939 roku. Dzięki tej akcji, Stefan Pawlicki, który wybrał się z woźnicą po cukier, uniknął rozstrzelania na śremskim rynku.

Zmarł 25 maja 1969 roku w Śremie.



Włodzimierz BOBROWSKI

Antoni Baraniak

Zbliżające się uroczystości beatyfikacyjne prymasa Stefana Wyszyńskiego oraz 90. rocznica święceń kapłańskich arcybiskupa Antoniego Baraniaka, pracującego długi czas z prymasem, zobligowały członków Koła Polskiego Związku Filatelistów w Śremie do starań o wydanie przez Poczta Polską znaczków przedstawiających abp. Baraniaka. Poza tym aby przypomnieć i przybliżyć naszym Rodakom postać bohatera urodzonego w pobliskim Sebastianowie, publikujemy krótki Jego życiorys.

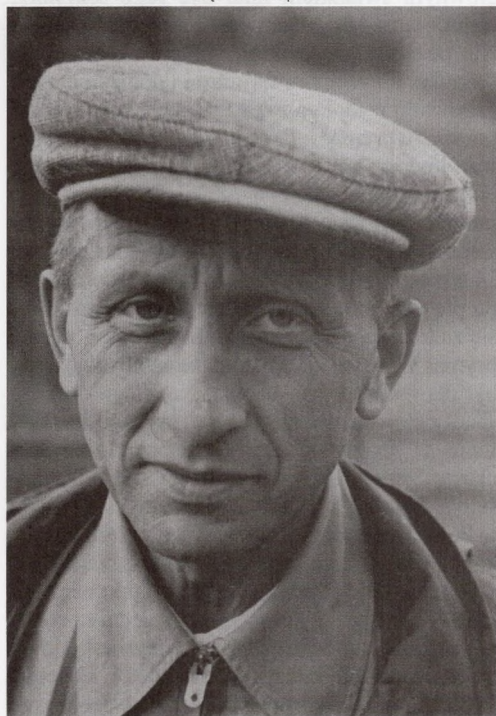
Antoni Baraniak był synem wielkopolskiego chłopca z niewielkiej wsi Sebastianowo, leżącej w gminie Książ Wielkopolski, w powiecie śremskim. Był ósmym dzieckiem z jedenaścioroga jakie mieli Jego Rodzice. 10 stycznia 1904 r. został ochrzczony w kościele pw. św. Marcina Biskupa w parafii Mchy. Po ukończeniu Szkoły Powszechnej został przyjęty do Zakładu Księży Salezjanów w Oświęcimiu. Studia filozoficzne odbył w Krakowie, a specjalistyczne w Rzymie. W 1931 r. obronił doktorat z teologii, a w 1933 r. z prawa kanonicznego. W międzyczasie w Krakowie, 3 sierpnia 1930 r., otrzymał święcenia kapłańskie z rąk abp. Adama Sapiehy. Od września 1933 r. pracował jako osobisty sekretarz Prymasa Polski, kardynała Augusta Hlonda. W latach 1939-1945 przebywał wraz z prymasem Hlondem, na emigracji we Włoszech i we Francji.

W 1945 r. powrócił do Polski. Po śmierci kardynała Hlonda w 1948 r. został kierownikiem sekretariatu prymasa Wyszyńskiego. 30 kwietnia 1950 r. papież Pius XII ogłosił nominację ks. Baraniaka na sufragana archidiecezji gnieźnieńskiej. Święceń biskupich udzielił Mu prymas Wyszyński.

Władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej postawiły za cel podporządkowanie sobie kościoła katolickiego.

Dlatego też internowano prymasa Wyszyńskiego oraz uwięziono Baraniaka. Obu aresztowano i uwięziono nocą 25/26 września 1953 r. Prymas dopiero w czwartym miejscu odosobnienia, czyli w Komańczy, dowiedział się, że biskup Baraniak został aresztowany. Oskarżony został o pośrednictwo w przekazywaniu materiałów kościelnych do Watykanu, a także o współpracę z przedstawicielami zbrojnej konspiracji niepodległościowej. Księdzu prymasowi zaś władze

abp. Antoni Baraniak, 1.01.1904 - 13.08.1977
Fot. ze zbiorów WIR Książ Wielkopolski





Zdjęcie wykonane 10 sierpnia 1930 roku na pamiątkę prymicji ks. Antoniego Baraniaka przed budynkiem plebanii w Mchach. Ksiądz Baraniak siedzi między rodzicami Franciszką z Wolskich i Franciszkiem Baraniakami.
Fot. ze zbiorów WIR Książ Wielkopolski

przygotowywały pokazowy proces, w którym głównym świadkiem miał być Jego sekretarz, biskup sufragan gnieźnieński Antoni Baraniak. Nie pozwolił On jednak „spreparować się” na świadka. Fizycznymi torturami i poniżaniem Go usiłowano wydobyć zeznania obciążające aresztowanego prymasa. Podczas gdy prymas przebywał internowany w Komańczy (Bieszczady), biskup Baraniak w ciemnym wilgotnym karczerze ratował prymasa, Kościół i Polskę. Przesłuchi-
wano Go ok. 145 razy, (od 26 września 1953 do 14 września 1955). Zrywano Mu paznokcie i bito po plecach pałą. Nie ugiął się! Charakteryzował się za to niewiarygodną siłą ducha. Jak przyznał prymas Wyszyński: „Biskup Baraniak uwięziony był dla mnie niejako osłoną. Na Niego bowiem spadły główne oskarżenia i zarzuty, podczas gdy mnie w moim odosobnieniu przez trzy lata oszczędzano”. Kto wie, czy losy nie tylko kościoła katolickiego ale i losy chrześcijaństwa w Polsce nie spoczywały wówczas właśnie w rękach biskupa Baraniaka. Od 12. sierpnia 1954 r. do 6 maja 1955 r. przebywał w szpitalu więzien-
nym. Wypuszczony z więzienia w 1955 r., został internowany w salezjańskim domu zakonnym w Marszałkach k/Ostrzeszowa do 1 kwietnia 1956 r. Stan Jego zdrowia był na tyle poważny, że

mimo zgody na leczenie władze UB liczyły na Jego rychłą śmierć.

W tym też czasie dyrektor Ośrodka Salezjańskiego w Ramsey (USA) wygłosił w programie radiowym pogadankę na temat bp. Baraniaka, gdzie na koniec stwierdził, że Baraniak nie żyje. Poinformowała o tym również Rozgłośnia Polska Radio Wolna Europa. Wtedy pani Kazimiera Dąbrowska, mieszkająca w Rzymie malarka miniaturzystka, graficzka, projektantka wszystkich znaczków pocztowych Watykanu, zaprojektowała znaczek pocztowy, który nie został ukończony (była tylko miniatura postaci), gdy okazało się że Antoni Baraniak jednak żyje.

30 maja 1957 r. został nominowany przez papieża Piusa XII na arcybiskupa poznańskiego. 2 lipca 1957 r. objął służbę w diecezji. W czasie swej 20-letniej służby doprowadził do utworzenia 60 nowych parafii. Usilnie zabiegał o budowę nowych świątyń oraz Domu Księża Emerytów. Wyświęcił ok 700 kapłanów. Był inicjatorem i gospodarzem centralnych obchodów Milenijnych w Gnieźnie i w Poznaniu w 1966 r. W 1968 r. przeprowadził Synod Archidiecezji Poznańskiej.



Antoni Baraniak w rodzinnym domu w Sebastianowie. 21 maja 1972 r. Fot. ze zbiorów WIR Książ Wielkopolski

Rok 1977 to rok postępującej choroby. Leżącego w szpitalu w Poznaniu arcybiskupa Baraniaka odwiedza m. in. arcybiskup krakowski Karol Wojtyła. Mówi On znamienne słowa: „Ekscelencjo, Kościół w Polsce nigdy nie zapomni tego, co Ekscelencja uczynił dla tego Kościoła w najbardziej trudnym okresie jego dziejów”. A pewien lekarz powiedział do bp. Przykuckiego w trakcie rozmowy o świętości, przy łóżku chorego – „Co mi ksiądz będzie mówił o świętości, tu macie świętego – tu prawdziwy święty leży”.

Arcybiskup Metropolita Poznański Antoni Baraniak zmarł 13 sierpnia 1977 r. Mszy św. pogrzebowej przewodniczył ks. kardynał Karol Wojtyła, a kazanie żałobne wygłosił ks. prymas Stefan Wyszyński. 20.06.1983 r. Ojciec św. Jan Paweł II powiedział w Poznaniu: „Przybywałem tutaj po wielokroć, zwłaszcza w czasie pasterzowania metropolity poznańskiego śp. Antoniego Baraniaka, którego pasterskie męstwo, wielką pokorę i Bogu znane zasługi otaczam zawsze głęboką czcią”.

12 grudnia 2016 r. celę w więzieniu mokotowskim przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, w której przebywał abp. Baraniak przebudowano na kaplicę. W 2018 r. otrzymał pośmiertnie Order Orła Białego, który rodzina przekazała do Muzeum Archidiecezjalnego.

Iwigilując Antoniego Baraniaka, funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego zaznaczali, że jednym z Jego największych zainteresowań jest filatelistyka. Miniaturę postaci Antoniego Baraniaka stworzoną przez panią Dąbrowską wykorzystujemy przy projektowaniu tzw. Mojego Znaczką. Polecamy dwa arkusze tych znaczków, gdzie drugi różni się tylko tym, że środkowy znaczek przedstawia pomnik – popiersie abp. Baraniaka, stojący przy głównej drodze prowadzącej przez Mchy, naprzeciw kościoła. Chcemy w ten skromny sposób podziękować fundatorowi tego monumentu, a arcybiskupowi „sprawić przyjemność” umieszczając go na znaczku pocztowym, który nie tylko filateliści będą podziwiał w klaserach i na kopertach.



Jeden z dwóch arkuszy znaczków. Na tym centralnie popiersie Arcybiskupa w Mchach

Powyższy tekst napisałem bazując na pracy magisterskiej pana Henryka Komasy *Ksiądz Antoni Baraniak metropolita poznański w życiu kościoła i społeczeństwa (1.1.1904-13.08.1977)* napisanej w Instytucie Nauk Politycznych i Dziennikarstwa WNS UAM Poznań 1994, rozmowach z Zofią Skrzypek – nieżyjącą bratanicą arcybiskupa oraz p. dr Jolantą Hajdasz – dziennikarką zabiegającą

od lat o wszczęcie procesu beatyfikacji arcybiskupa, metropolity poznańskiego Antoniego Baraniaka.

Chętnych nabycia arkuszy ze znaczkami abp Antoniego Baraniaka proszę o kontakt:
Włodzimierz Bobrowski tel. 660 772 605
e-mail: włodzimierz.bobrowski@wp.pl

Jan MIELOSZYŃSKI

Moje wspomnienia Sierpnia 1980

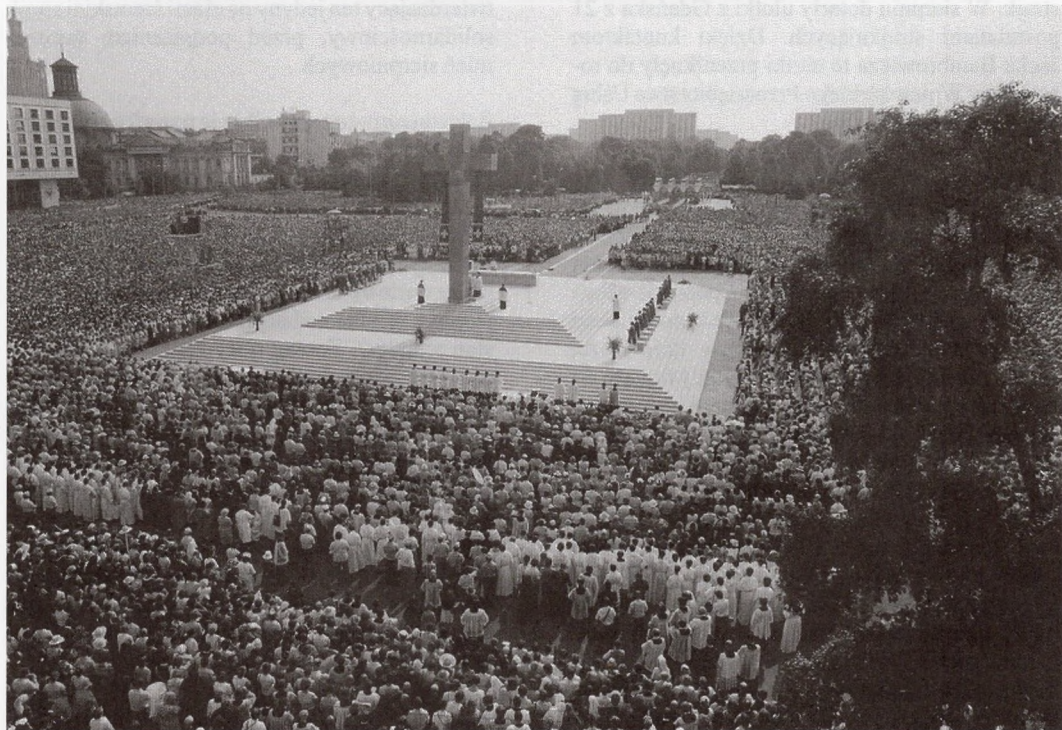
Zanim przyszedł Sierpień 1980 roku, był ciemny okres lat 1945–1980. To czas wielkiego egzaminu dla Polaków, ich przywiązania do Boga, zachowania Honoru oraz umiłowania Ojczyzny. Poznajemy coraz więcej faktów z wprowadzania w naszej ojczyźnie ideologii komunizmu i budowania ideologicznego państwa. Na pierwszym miejscu była walka z Kościołem. Ta zła ideologia przyniosła Patriotom – Synom i Córkom naszego narodu cierpienie, strach a nawet śmierć. Do dzi-

siaj nie znamy wielu faktów, być może historii wielu potajemnie uprowadzonych, zamordowanych przez pracowników Urzędu Bezpieczeństwa nigdy nie poznamy.

Bohaterom Chwała i Cześć.

Pamiętam tamte czasy. Byliśmy zastraszeni. Jeżeli się nie zapiszesz do ZMS-u, to wylecisz ze szkoły. Jeżeli nie będziesz się podporządkowywał, to nie dostaniesz mieszkania, nie dostaniesz

Msza św. na placu Zwycięstwa w Warszawie podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979 roku



pracy, nie dostaniesz podwyżki, dziecko nie dostanie się do żłobka, przedszkola. Zastraszanie to była codzienna praktyka. Sierżant, który oficjalnie praktykował swoją Wiarę i posłał swojego syna do I Komunii Świętej, nie dostawał awansu, był szykanowany. Ale w tym samym czasie dla służalczych były nagrody, awanse. Do dzisiaj w uszach słyszę: „zapisz się do partii to dostaniesz dwie grupy podwyżki”, takie sekretarz partii miał zachęty dla pracowników. Sekretarz partii miał wielką władzę w zakładzie pracy, w mieście, w całym państwie. „Służby” stały na usługach, nie cofając się przed niczym.

Ale danina krwi przyniosła owoce. Pan Bóg powołał z dalekiego kraju Papieża, syna naszego narodu. To od Jego wołania: NIECH ZSTĄPI DUCH TWÓJ... dokonało się przebudzenie większości synów i córek naszej POLSKIEJ ZIEMI. Nastąpiło coś niesamowitego. Ludzie wsłuchiwali się w wieści płynące z Polski, chociaż przekazywane z zagranicy. Dowiedzieliśmy się w lipcu 1980 r. o odważnych kolejarzach w Lublinie, którzy przyspawali lokomotywę do szyn i tak rozpoczęli strajk. W sierpniu dotarły ulotki z Gdańska z 21 postulatami strajkujących. Dzięki kontaktom Jacka Bambrowicza te ulotki przeniknęły do robotników Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych O/Śrem,

30 Sierpnia 1980 r. po przerwie śniadaniowej, robotnicy będący na terenie zakładu (ok. 40 osób) zgromadzili się w warsztacie zakładu remontowego. Byłem umówiony z wspomnianym Jackiem, aby przyszedł do biura i poprosił abym wyszedł na korytarz. Do dzisiaj nie zapomniałem tego momentu, powiedziałem: „w imię Boże, Jacku”. Poszliśmy na warsztat. Wtedy dotarło do mnie, na co narażam swoją rodzinę i wszystkich pracowników, ale zaufałem Panu Bogu. Zdawałem sobie sprawę, że wśród robotników byłem jedynym pracownikiem administracyjnym, który bierze udział w strajku. Ale robotnicy mieli do mnie sympatię, wielu ucieszyło się, że jestem z nimi. Poprosiłem o przegłosowanie mojej kandydatury na przewodniczącego strajku. Wybraлиśmy komitet strajkowy, obok mnie wybrano Włodzimierza Kornowicza, Józefę Kozicką, Aleksandra Joachimiaka oraz Piotra Cieślaka. Podczas strajku postawiono straż robotniczą

przy wejściu do zakładu, na bramie wywieszono flagi biało-czerwone. Zebrani w hali warsztatowej szczegółowo omawiali postulaty z Gdańska. Każdy punkt był głosowany. Na koniec głosowaliśmy nad treścią Listu otwartego do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z siedzibą w Stoczni Gdańskiej, zgłaszając nasz zakład do MKS-u. Jednocześnie informowaliśmy o naszym strajku solidarnościowym, który trwał do godziny 13.00. To było coś, skutków czego nie mogliśmy przewidzieć. Po drugiej stronie stał reżim, zdałem sobie z tego sprawę zaraz po strajku, gdy czekałem w sekretariacie, słyszałem jak jeden z dyrektorów informował telefonicznie „służby”, że prowokatorem jest Jan Mieloszyński, Udałem, że nic nie słyszałem. Poprosiłem Dyrektora o spotkanie, ponieważ w zakładzie powstał Komitet Strajkowy. Dyrektor zgodził się, że zaraz nas przyjdzie i tak się stało. Podczas całego spotkania nurtowało mnie, czy po pracy dojdę do domu, czy od razu mnie „zwiną”. Mimo wszystko umówiłem się na popołudniu z członkami Komitetu Strajkowego, aby spisać protokoły wraz z załącznikami. Jest to dzisiaj jedyny dowód potwierdzający ten jedyny na ziemi śremskiej strajk solidarnościowy, przed podpisaniem porozumień sierpniowych.

Żal jednego – tego, że nikt nie potrafi opisać tego, co działo się w nas i z nami. Z czego wypływał entuzjazm tamtych dni. To budziła się Wolność.

Warto wracać do tych wydarzeń. Z perspektywy minionych lat, jeszcze bardziej jestem przekonany, że warto było. Entuzjazm, budzenie się Narodu, jedność, wielka nadzieja, to wszystko zniweczył stan wojenny. Znowu obcy zdecydował za naród. Obcy mieszkał w naszych rodzinach, bo należał do tamtych, a nie do nas. Podzielono nasz Naród. Okrągły stół nie dokonał niczego jeśli chodzi o budowanie jedności. Podzielił nas jeszcze bardziej, czego skutki odczuwamy do dzisiaj.

Cała Prawda i tylko Prawda może nas wyzwolić. Tego życzę Czytającym oraz sobie. Jeszcze raz dziękuję wszystkim, z którymi przeżyliśmy czas strajku, za tę cegiełkę wznoszącą dom któremu na imię Polska.

Katarzyna GWINCIŃSKA

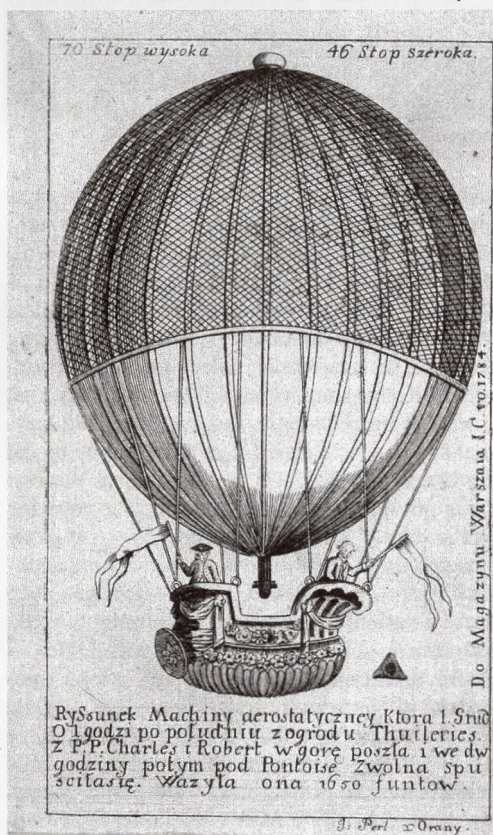
Banialuki

Nie samym chlebem

Niejaki Hans Pfaall, stateczny rzemieślnik zajmujący się produkcją i naprawą miechów w Rotterdamie, popadł w finansowe tarapaty. Prześladowany przez wierzycieli doświadczał ciężkiej depresji i snuł się po rodzinnym mieście w jednym tylko celu uniknięcia spotkania jakiegokolwiek ze swoich prześladowców. W swej wędrówce przysiadł pewnego dnia przy stoisku księgarza i chwycił pierwszą książkę z brzegu, by uzasadnić swój odpoczynek. Trafił na mały traktat o spekulatywnej astronomii pisany przez profesora Enke z Berlina albo też jakiegoś Francuza o podobnym nazwisku. Traktat przypisał Hansa Pfaalla o pewien rodzaj iluminacji. Spieniężył nieco mebli, by zakupić ów traktat i kilka innych dysertacji o podobnej treści, i zaszył się w najciemniejszym kącie domu, by swobodnie je przestudiować. Wchłonał całą dostępną wiedzę, poddał w wątpliwość kilka naukowych eksperymentów i powziął życiowe postanowienie. Choć żona, zapewne nie bez przyczyny, uważała go za próżniaka i niedołągę, wsparła jego rewolucyjny projekt i pomogła spieniężyć cały majątek z przeznaczeniem na wyekspediowanie męża jak najdalej. Umiała liczyć, bo coś tam mimo wszystko dla niej z tego majątku zostało. Hans naprawdę miał rozmach. Ni mniej, ni więcej, wybrał się balonem na Księżyc. Wszystko policzył i wyszło mu, że spokojnie doleci. Stworzył tylko kondensator powietrza i kauczukowy kokon na kosz, bo pan Gay-Lussac opowiedział światu, że wysoko nad Ziemią powietrze się bardzo rozrzedza. Nie uwierzył w naukowe spekulacje o całkowitym braku powietrza tam hen, w przestworzach. Misja, nie licząc martwych gołębi i kotów i przelatujących z hukiem (!) meteorów wypływanych przez Księżyc, całkowicie się powiodła. Wznosił się pionowo nad Holandią kilka dni, potem zaczęło go znosić ku

równikowi, co okazało się okolicznością szczęśliwą, bowiem balon ustawił się w płaszczyźnie orbity Księżyca. Dotarł na miejsce po 19 dniach i spędził tam lat pięć, niczym Guliwer wśród tamecznego drobnego, niezwykle szpetnego i pozabawionego uszu ludku. Zatęsknił jednak za swą

Józef Perli, rycina przedstawiająca pierwszy pasażerski lot balonem, 1784, w zbiorach Biblioteki Narodowej





Joseph Louis Gay-Lussac (1778-1850)

rodziłą planetą, lecz bał się wrócić, gdyż przy starcie balonu wysadził w powietrze trzech swoich najzacieklejszych wierzycieli. Wysłał więc do Rotterdamu księżycowego człowieczka z listem do burmistrza i akademików. W liście opisał swoje naukowe dokonania i epokowe odkrycia, za które, jak uzasadniał, należy mu się uniewinnienie. Rotterdamczykom fajki powypadały z ust z wielkiego zdziwienia. Jedynie burmistrz trzymał fason, a raczej zaciśnięte zęby, choć i on dał się przekonać. Tak! Darujemy ci karę! Wracaj! Lecz posłaniec zniknął zanim decyzje zapadły. Wstrząśnięci mieszkańcy Rotterdamu w ciszy rozeszli się do domów i tylko niektórzy przebąkali potem, że posłaniec przypominał pewnego karta z sąsiedniego Burges, zaklinacza butelek, któremu obcięto uszy za pewne przewinienie. Rzecz działa się w latach 30. XIX wieku i powstała w genialnym i prekursorskim umyśle Edgara Allana Poe. Łatwo sobie wyobrazić, że złośliwy żart rotterdamskiego obiboka miał wielkie szanse powodzenia. Ówczesne gazety, owszem, donosiły o naukowych odkryciach no-

wej ery atomowej, lecz były to sprawy tak świeże, że nie obejmowała ich szkolna edukacja, i tak trudne, że nawet gdyby edukacja je obejmowała, mało kto pojąłby ich sens. A poza tym nie było możliwości wznieść się tak wysoko, by potwierdzić lub obalić spekulacje Hansa Pfaalla. Dzisiaj nauka nazywa to hipotezą. Zakładamy, że... na dwoje babka wróżyła. Ale wracając do absurdałnej przygody, nawet dzisiaj, niemal po dwustu pracowitych latach naukowców i edukatorów, z trudem można wyłapać wszystkie nieścisłości opisu lotu na Księżyc naszego wesołego bohatera. Nie ma wątpliwości, że Poe wzorował się na wyczynie Josepha Gay-Lussaca, francuskiego fizyka i chemika, którego zresztą wymienia w swojej nowelce.

W 1804 roku Joseph Gay-Lussac postanowił zweryfikować hipotezę rosyjskiego chemika, który 30 czerwca wznosił się w balonie nad Petersburgiem na wysokość 2250 m i twierdził, że wraz z wysokością słabnie oddziaływanie pola magnetycznego Ziemi. Wyprawę w celu zebrania różnych danych fizycznych i chemicznych w atmosferze zorganizowała Paryska Akademia Nauk. 24 sierpnia Joseph Gay-Lussac i Jean Baptiste Biot wzniesli się balonem na wysokość 4000 m, ale Biot źle zniósł to fizycznie i musieli zawrócić. Gay-Lussac nie dał za wygraną i 16 września 1804 roku ponownie wsiadł do balonu – jak czytamy w *Fizyce umiętej* dr. Wojciecha Urbańskiego, wydanej w 1866 roku w Warszawie – „puściwszy się z dziedzinka Konserwatorium Sztuk i Rzemiosł w Paryżu po raz drugi sam jeden, nawet do wysokości 7016 m nad poziom morza. Jest to najwyższa wysokość, do jakiej człowiekowi udało się dostać [...]. W tych wysokich okolicach było bardzo zimno. Termometr Gay-Lussaca pokazywał -10°C , podczas gdy przy ziemi panował upał $+30^{\circ}\text{C}$. W powietrzu czuć się dawał brak wszelkiej wilgoci, a materie higrometryczne, jak na przykład papier, włosy wysychały bardzo prędko i skręcały się jak przy ogniu. Niebo miało barwę ciemnobłękitną, a śmiertelna cisza otaczała żeglarza, który z powodu wielkiego rozrzedzenia powietrza czuł potrzebę prędkiego oddychania, szum w uszach i wydobywanie się z nich pęcherzyków powietrza, tudzież prędsze bicie serca [...]. Po upływie sześciu godzin spuścił się na dół w pobliżu miasta Rouen, odbywszy blisko 30 mil drogi”. Dodajmy, że nie



Geoglify na równinie Nazca w Peru. Według Dänikena ewidentny dowód ingerecji pozaziemskiej cywilizacji.
Fot. history.com

potwierdził przypuszczenie Rosjanina o słabnym polu magnetycznym.

Wróćmy do naszych rotterdamczyków, którzy – jak widać – mogli już mieć pojęcie, co dzieje się w balonie 7 km nad Ziemią. Ale do Księżyca jest 384 400 km, a tak daleko ludzie dotarli dużo, dużo później, a nawet dużo później stwierdzili, że atmosfera okołozimska kończy się na 80 km. Dalej jest czysta, kosmiczna próżnia, czarna i cicha, bo nie ma ośrodka, w którym rozchodziłyby się dźwięk. Tego jednak w latach 30. XIX wieku nikt nie wiedział na pewno, zatem możliwość dotarcia balonem na Księżyc, chociaż wątpliwa, nie podlegała jednak kategorycznemu zaprzeczeniu. Była kwestią wiary.

Opisowi samotnej wyprawy Gay-Lussaca towarzyszy anegdota. Balon na pewnej wysokości znalazł się w chmurze i zwolnił. W panice naukowiec wyrzucił z balonu wszystko, co stanowiło balast, a nie było naukowym instrumentem, w tym krzesło kuchenne, które zabrał dla swojej wygody. Dopiero po fakcie zorientował się, że było to trochę nieodpowiedzialne. Krzesło szczęśliwie nikogo nie trafiło. Spadło nieopodal dziewczyny pasącej owce. Dziewczę w szoku pobiegło po proboszcza i ludzi ze wsi. Uznali wspólnie, że jest to znak z nieba, chociaż tak zaskakujący, że aż niepojęty. Na wszelki wypadek zabrano krzesło do kościoła, gdzie przez kilka dni było obiektem spontanicznego kultu. Wkrótce jednak gazety doniosły o wyczynie francuskiego naukowca i jego niefrasobliwym pozbyciu się balastu i proboszcz powstrzymał święte poruszenie wokół krzesła.

To wydaje się zabawne i z nawet z pewną drwiną myślimy o naiwnych i niedoksztalconych mieszkańcach francuskiej wsi, którzy bez wahania uznali, że meblowy desant to sprawa boska. Jednak taka jest nasza konstrukcja i wszyscy podlegamy temu samemu odruchowi. Jeśli mamy do czynienia z niepojętym, nieznanym, niewyjaśnionym, z ogromną łatwością uznajemy, że stoi za tym Bóg Stwórca Wszechogarniający albo cały zespół bogów z podziałem na role. Po prostu niezdolni jesteśmy do ogarnięcia wyobraźnią ogromnych przestrzeni i niezwykle długich odcinków czasu, co jest – jak się okazuje – niezbędne do zrozumienia pewnych zjawisk, w krótszej perspektywie zakrawających na cud.

Jednym z takich bardziej niepojętych dla nas zjawisk w tym kontekście jest nasze istnienie. A jeszcze bardziej niepojęta, o ile można „niepojętość” poddawać gradacji, jest nasza inteligencja odróżniająca nas od reszty przedstawicieli ziemskiej fauny. Mamy też mocno ugruntowany nawyk myślenia, że nasi przodkowie musieli być od nas głębsi. I to jest niezwykle żyzna gleba dla obdarzonych charyzmą i skażonych niecierpliwością wizjonerów, którzy potrzebują szybkich i prostych rozwiązań. Absolutnym mistrzem w tej dziedzinie jest Erich von Däniken, który ze swych teorii uczynił rodzaj dość powszechnego kultu. Uznał mianowicie, że nie jest możliwe, by ludzkość doszła do swych cywilizacyjnych osiągnięć drogą ewolucji i powolnego rozwoju. Według niego ani Majowie, ani Aztecy, ani też Egipcjanie, Hindusi i inni nie stworzyliby zaawansowanej cywilizacji bez ingerencji przybyszów

z kosmosu, zwanych później bogami. Niemożliwe jest, by stworzyli matematykę, technikę i strukturę społeczną bez dobroczyńców spoza Ziemi. Znajduje na to całe mnóstwo potwierdzeń w studiowanych zapisach dawnych kultur, interpretując je tak, by gładko spajały się w jego teorię. A teoria ta jest niezwykle barwna i pociągająca. Sam autor, mimo zaawansowanego wieku, nadal ze swadą broni jej podczas publicznych spotkań i wykładów. Naukowcy, którzy oczywiście kompletnie się z Dänikenem nie zgadzają, są w niezręcznej sytuacji. Z jednej strony twierdzą, że skoro ktoś powie, iż Księżyc jest z sera, to nikt nie będzie się rzucał, żeby mu te bzdury wyperswadować. Z drugiej jednak strony, napisali już kilka książek dowodzących błędów w uproszczonym rozumowaniu szwajcarskiego wizjonera. Tylko kto czyta naukowców?! Nie mają tej swady i buty, odwołują się do żmudnych (i nudnych) badań, a na dodatek twierdzą, że to teoria, którą kolejne badania mogą obalić. Komu uwierzyć?

Naukowcy w ogóle mają nieco inne nawyki i tym się różnią od reszty ludzkości. Jeśli dla nich coś jest niepojęte, odrzucają proste wyjaśnienie boskiej ingerencji. Drażą, snują hipotezy, a potem nagle dowodzą swych prawd i przestają się mar-

twić, czy nasze nienaukowe umysły są w stanie te prawdy przyswoić. Nie oszukujmy się, większość z nas poległa na przesławnej ogólnej teorii względności Alberta Einsteina. Jej dowód przeprowadzono 101 lat temu, dokładnie 6 listopada 1919 roku. Eksperyment miał potwierdzić, że grawitacja, jak twierdził Einstein, ugina promień światła. Potwierdził. Prasa wówczas napisała: „okazało się, że gwiazdy są nie tam, gdzie je widzimy, ale nie ma się czym przejmować”. W istocie, nie ma się czym przejmować. Nie wiemy do dzisiaj, czy Wszechświat jest nieskończony, bo może nie jest. Przypuszcza się, że wszechświatów jest wiele, ale ciągle jesteśmy w sytuacji rotterdamczyków, którzy ewentualnie mogli dysponować wiedzą Gay-Lussaca. Potrafimy dzisiaj dotrzeć w kilka miejsc naszego układu planetarnego i to już jest całkiem daleko. Do Słońca z największą osiągniętą przez nas prędkością lecieliśmy dwa lata i kwartał. Granice obserwowalnego Wszechświata to 92 miliardy lat świetlnych. A to tylko nasz Wszechświat. Jest to tak niepojęty ogrom, że doprawdy czasem odnosi się wrażenie, że nasi naukowcy mają coś w Hansa Pfaalla opowiadającego banialuki.

Przedstawiciele obcej cywilizacji na Ziemi, Kongres Solvaya w Brukseli, rok 1927. Rząd I od lewej: Langmuir, Planck, Maria Skłodowska-Curie, Lorentz, Einstein, Langevin, Guye, Wilson, Richardson. Rząd II od lewej: Debye, Knudsen, Bragg, Kramers, Dirac, Compton, de Broglie, Born, Bohr. Rząd III od lewej: Piccard, Henriot, Ehrenfest, Hersen, de Donder, Schrödinger, Verschaffelt, Pauli, Heisenberg, Fowler. Zgłoszenie Nagrody Nobla ponad 50%. Brakuje niejakiego Gödla, który miał wówczas 21 lat i kończył studia. Cztery lata później wyrzucił logikę do góry nogami.



Leszek MAŃKOWSKI

Wyjście

Z pamiętnika starego

Kwiecień 2020.
Piechur czasu zarazy.

Wyjście nie obeszło się bez echa. Echo przyniosło stwierdzenie: Piechurem się zrobiłeś w czasie zarazy, a wcześniej trudno cię było na spacer wyciągnąć. To uruchomiło myślenie.

Spacer samotny refleksjom sprzyja. Dlaczego w czasie zarazy stałem się piechurem? Zająłem się szukaniem odpowiedzi na to egzystencjalne pytanie. Powodów wyjścia w plener znalazłem kilka.

La donna e mobile, to i mężczyzna może zmienić przyzwyczajenia. Wy tłumaczenie mało poważne? No to: *tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Lepiej? Czas mamy teraz inny, szczególnie – sprzyjający przewartościowaniu. A przecież starożytni używali tej maksymy, nie znając koronawirusa. I bez niego zauważyli wpływ biegnącego czasu na postawy ludzkie.

Czy to wyjaśnia sprawę? Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że tak zapisano w gwiazdach. Ale, nawet jeśli chodzenie było gdzieś zaprogramowane – to przecież w jakiś sposób musiało do

W Parku Ekologicznym im. Włodzimierza Puchalskiego. Fot. Leszek Mańkowski



mnie dotrzeć, że można się poruszać. François Rabelais powiedział, że natura nie znosi próżni. Pewnie tak mogło się stać w moim przypadku. W naszym małżeńskim stadle jest stale wyrabiana wysoka norma wymaszerowanych kroków, z których solidarnie, wspólnie w zespół korzystamy. Uzasadniać, że mąż i żona to jedno ciało (z dwiema parami kończyn dolnych) nie ma wszak potrzeby. W wyniku koronawirusowego zawrócenia ze zwykłego dreptaka awansowałem na głównego dostawcy kroków pod nasz dach. Są też argumenty zdrowotne i estetyczne. Jedne i drugie przyczynę wspólną mają: zauważalne, coraz trudniejsze do ukrycia symptomy chorobowego zespołu Wylewa, zwanego lustrzycą. Dochodzą tu także racje praktyczne, prowadząc do alternatywy: chodzić albo kupić obszerniejszą kurtkę.

W prepanemicznym świecie nie reglamentowano wolności chodzenia. Wolnym wyborem był więc wtedy fotel. Teraz wychodzę z izolacji, z mej klauzury, opuszczam na jakiś czas Annę Kwarant! Wyjście stało się atrakcyjne. Smakuje lepiej niż kiedyś.

Znakiem czasu tego jest maska. Przydatna bardzo podczas dłuższego spaceru. (Miała być anonimowość, by fanki nie przybiegały po autografy – nic z tego, skoro ekspedientki w sklepach bez problemów mnie identyfikują). Maskę skrywa grymas zmęczenia, uzewnętrznienie języka, oddech karpia, fizjonomię finiszującego maratończyka.

Potem włączył się imperatyw ambicjonalny (nie Kanta, mój własny). Zacząłem chodzić, więc jak tu przestać? Nie uchodzi. Kontynuuję więc. Chodzę.

Dla tych, którzy nie cierpią ogrodnictwa Leszek Kołakowski sformułował *Ogólną teorię nieuprawiania ogrodu*. Uznał, że nie uprawianie ogrodu bez teorii jest płytkim i niegodnym sposobem życia. Dostarczył dowodów, że ogrodu uprawiać nie należy! U mnie na odwrót: nie-chodzenie nie potrzebowało uzasadnienia.

W Parku Śremskich Odlewników. Fot. Leszek Mańkowski



Maj 2020.

Nostalgicznie, asocjacyjnie, regulaminowo.

Po spacerze promenadą – wspinaczka do Klasztoru. Cóż, nie tylko w Karpaczu mają pod górkę. Jakoś dają radę. Mógłbym marudzić, że na prawo od Warty teren jest uporządkowany, górki i pagórki zniwelowane, a tu: już podczas lokacji miasta nikt nie pomyślał i do dziś nierówności pozostały. Ale, nie na darmo przysiadłem się do profesora Święcickiego i księdza Wawrzyniaka – konstatuję więc: Im było trudniej.

Podążając własnym szlakiem, odtwarzam zapisane w pamięci: Hajmat, Spalony Młyn, niemiecki cmentarz. Dalej – żwirownia na Helenkach i bardzo wąskotorowa kolejka wywożąca urobek... Okej, nie ma już żwirowni, nie ma kolejki, skręcam: via Złodziejewo ku stadionowi – oh, sorry, to dziś centrum handlowe – obok Nowa Strzelnica. Powrót do przeszłości: prawdziwa strzelnica, Abisynia alias Betlejemki, kręgielnia (ten budynek został). Stamtąd ścieżką przez zboża, lasy, obok kolejnego cmentarza – nad jezioro. Obrazy stają się niewyraźne, pojawia się jakaś nieostra mgła... Oho, nierówno pod stopami; no tak, real: Grunwaldzka, ocalony od zapomnienia asfaltowy chodnik. Nie, nie szukam dziury w całym, przeciwnie – wpada pomysł stworzenia tu ścieżki edukacyjnej i nawet propozycja patrona dla niej... Przede mną park, za mną przebyty dystans.

Dystansuję się. Przed wyjściem odmierzyłem 2 metry, dokonałem wizualizacji, teraz zachowuję dystans – społeczny. Mijam maski. Cogito: Pod iloma błazeńskimi twarzami? Wyeksponowane oczy. Mówią. Oczy zielone, oczy podkrążone. Pierwsze doprowadziły kogoś do szału, drugie – ponoć w tym czasie budzą ufnosć.

Piechota podlega regulaminom. W newralgicznych punktach zarządcy, bywa, że anonimowi, poustawiali tablice – nie, nie kamienne (blachy ci u nas dostatek), ale „bogate” w treści. Regulamin jednego parku przyznaje nawet mi prawa! Tak: mogę wejść na teren i korzystać z zawartości – korzystać należycie. (W innym to tylko zabrania się). Regulamin placu zabaw – z cyklu: Poczytaj mi mamo. Obszerny, brak jednak punktu: Po przeczytaniu regulaminu dziecku, należy je obudzić. Za to w odniesieniu do trawników „regulamin” jest dosadnie krótki i węzłowaty, acz pole do snucia domysłów dający: Nie wyprowadzać

psów! Niby jasne, nie wyprowadzę żadnego psa z trawnika. Ale... psów tam nie ma, ktoś pewnie już je wyprowadził, po co więc ten zakaz? Refleksja przychodzi w porę: może stawiać tabliczek planuje wprowadzenie nowych psich stad na trawniki? Jeśli tak, to wniosek jest oczywisty: nie osądzaj pochopnie, daj czasowi (i stawiaczom) czas. A w ogóle: mój kot jest lepszy niż pies.

Ławeczki. Nasze nie grają patriotycznie, za to są wszędzie. Hasło – ławeczka, odzew – Ranczo: wilkowyjska czwórka przed sklepem niby pomnik za życia, wójt senator z tym intrygi snującym, proboszcz biskup (jak wiecie, do polityki się nie miesza) z kierowniczką plebanii, artyści sztuk różnych, obcokrajowcy i – inni. Jak duża to inspiracja dla...?

Czerwiec 2020.

Oczko się odlepiło.

W plenerze wyluzowanie. Zasiadanie ławeczek przez spragnionych, hobbystów kultywujących siedzenie. Dialogiczne wzmożenie z zagęszczeniem słów interpunkcyjnych. Na ekranach – lingwiści i wizjonerzy. Pierwsi obostrzają, wyluzowują, wypłaszczają; szczyt przesuwają (wiera góry przenosi); wymazują kopalnie (śmieć to); stabilizują transmisje; utrzymują spadkowe tendencje (pomijając przypadki wzrostowe). Drudzy „budują” nam jutro (no, może po-jutrze?), wartko niczym w „Zaczarowanym ołówku”. Oczka (wodne) i Kingsajz dla każdego!

Myśli niekontrolowane, nieuczesane, anatemowane. Czy wypłaszczenie ma związek z płaszczem? Wypłaszczę się, rozplaszczę, nie oddadzą i co im zrobię? Czy cieniowi można wyluzować ostre kanty? Czy...?

Mamy oczka, swoje, społeczne, w każdym parku i nie tylko. Te oczka odpowiadają żywotnym potrzebom. Są na skalę naszych możliwości. Tymi oczkami otwieramy oczy niedowiarkom. I to nie jest nasze ostatnie słowo!

Temu misiu...

Któremu?

Wychodzę!

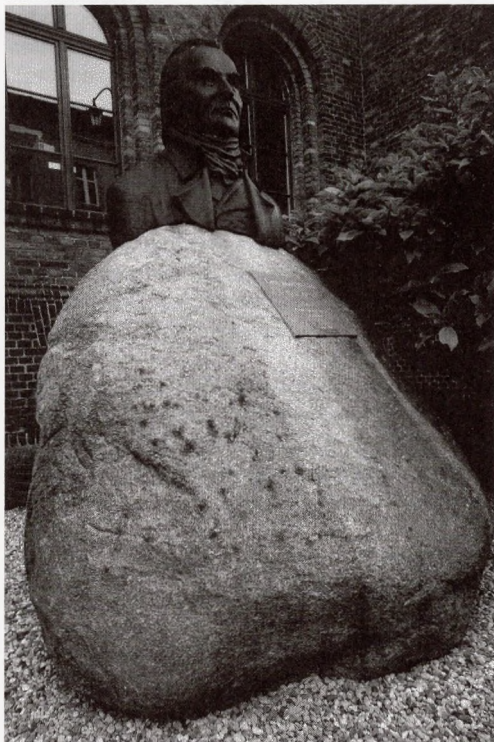
Michał LORENC

Głazy polodowcowe

Na tropach lodowca... Część 6

W kolejnym artykule z cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* wyjątkowo nie zwrócimy uwagi na polodowcową rzeźbę terenu, ale na głazy polodowcowe, zwane również głazami narzutowymi lub eratykami. Widujemy je niemal każdego dnia! Bez wątpienia one również stanowią tropy, jakie na ziemi śremskiej pozostawił po sobie lodowiec, główny bohater tego cyklu artykułów. Przypomnijmy więc, że powstał on

Fot. 1. Głaz z popiersiem gen. J. Wybickiego przy śremskim liceum



w północnej Skandynawii około 25 000 lat temu, zatem u schyłku epoki lodowcowej (plejstocenu). Jego narodziny były rezultatem postępującego ochłodzenia klimatu i gromadzenia się olbrzymich mas śniegu, które wraz z upływem czasu przeobrażały się w lód, tworząc lodowiec. Szybko zwiększał on swoje rozmiary – zarówno grubość, jak i zasięg, docierając nieco ponad 20 000 lat temu do ziemi śremskiej i pokrywając ją warstwą lodu o grubości nawet 400 m. Dla porównania, wieża radiowo-telewizyjna we wsi Góra koło Śremu posiada wysokość 290 m, a wieża Eiffla w Paryżu 329 m. Na północy Skandynawii, grubość lodu mogła sięgać 3,5 km! Swoją maksymalną zasięg lodowiec uzyskał 20 000 lat temu, osiągając miejsca, w których obecnie znajduje się Zielona Góra, Leszno, Konin i Płock, a na ziemi śremskiej dotarł w okolice Dolska. W owym czasie lodowiec zajmował około 30% obszaru obecnej Polski i znaczną część Europy. Takie rozległe lodowce zwiemy lądolodami, a pełne imię naszego bohatera to, jak pamiętamy, lądolód skandynawski.

Lądolód to jednak nie tylko lód. Jest bowiem niczym gigantyczna ciężarówka, która transportuje w sobie ogromne ilości skał, poczynawszy od ich drobin niedostrzegalnych gołym okiem, po ogromne, wielotonowe bloki skalne. To tzw. materiał morenowy. Skąd jednak pochodzi ten uwięziony w lodzie skalny bagaż? Otóż lód jest bardzo ciężki. Metr sześcienny lodu, zatem jego kostka o boku 1 metra, może ważyć nawet 900 kg. Niemal jedną tonę. To masa małego samochodu. Warto jednak dodać, że czysta woda jest jeszcze cięższa (posiada większą gęstość), a jej metr sześcienny waży właśnie 1 tonę. Dlatego kostki lodu wrzucone do napoju nie toną, lecz unoszą się na jego powierzchni. Wróćmy jednak do lądolodu. Skoro

metr sześcienny lodu waży tak dużo, to jakże nieprawdopodobną masę posiadał lądolód w Skandynawii, gdzie jego grubość przekraczała 3 km! Trudno to sobie wyobrazić. Cały półwysep Skandynawski ugiął się pod ciężarem lodu na setki metrów. Do dnia dzisiejszego powraca on do swego pierwotnego, przedlodowcowego położenia, podnosząc się nieco każdego roku. Jak wiemy, ta potężna masa lodu nie stała w miejscu, ale była w ruchu – płynęła. W ten sposób działała na swoje skalne podłoże jak papier ścierny. Lód szlifował podłoże, ale również wyrwał z niego fragmenty skał (egzaracja lodowcowa), które następnie w sobie transportował. Był w stanie udźwignąć każdą ilość skał oderwanych od swego podłoża. We współczesnych lodowcach, w tym w dwóch istniejących obecnie lądolodach (grenlandzkim i antarktycznym) również możemy obserwować transport materiału skalnego, który niejednokrotnie nadaje im różne barwy, zwykle odcienie szarości. Gdy lądolód dotarł na ziemię śremską, niósł więc w sobie skały pochodzące ze Skandynawii, a także z podłoża dzisiejszego

Bałtyku. Jak pamiętamy, w okresie rozwoju lądolodu Bałtyk jeszcze nie istniał, zatem lądolód płynący ze Szwecji do Polski, ze średnią prędkością 0,5 m na dobę, bez trudności wyrwał skały z obszaru bałtyckiego, następnie je transportując. Jednak po uzyskaniu swego maksymalnego zasięgu, wspomniane 20 000 lat temu, lodowy gigant zaczął się wytapiać i zanikać, co było rezultatem postępującego ocieplenia klimatu. Z okolicy Śremu lądolód ustępował około 19 500 lat temu, a wytapiając się pozostawiał cały bagaż skalny niesiony w swym lodowym wnętrzu. Transportowane głazy niejako narzucał na teren uwalniany spod swego lodowego cielska. Stąd zwiemy je również głazami narzutowymi. Inna ich nazwa – eratyki, pochodzi z łaciny: „errare” znaczy w tym języku błędzić. Obecne w naszej części Europy skały skandynawskie, czy też pochodzące z podłoża Bałtyku, są obcego pochodzenia, nie na swoim miejscu – zbłąkane, stąd termin eratyki. Głazy pochodzące ze Skandynawii to głównie bardzo odporne na zniszczenie skały magmowe, np. granity i skały przeobrażone (metamorficz-

Fot. 2. Głazy przy wieży ciśnień



ne), np. gnejsy. Z tego powodu dominują one wśród wszystkich głązów polodowcowych, stanowiąc ponad 75% całej ich populacji na ziemi śremskiej. Warto dodać, że są to najstarsze skały Europy. Liczą sobie niejednokrotnie znacznie ponad miliard, a nawet ponad dwa miliardy lat. Istniały zanim uformował się kontynent europejski. Istniały, gdy życie na Ziemi ledwie raczkowało, ograniczając się do organizmów jednokomórkowych żyjących wyłącznie w morzach i oceanach. Natomiast głązy pochodzące spod dna Bałtyku to zazwyczaj skały osadowe, zwykle wapienie. Są one znacznie mniej odporne na zniszczenie od skał skandynawskich, dlatego ich udział wśród wszystkich głązów narzutowych jest znacznie mniejszy. Skały te są zdecydowanie młodsze od skandynawskich. Te wapienne najczęściej pochodzą z ery paleozoicznej, z okresu sylurskiego, licząc 420-440 mln lat. Zawierają one w sobie inne skarby – skamieniałości zwierząt morskich pochodzących z mórz tropikalnych. Dowodzi to istnienia takich mórz w przeszłości na terenie Europy.

To nie koniec ciekawych informacji ukrytych w głązach polodowcowych. Otóż część skał, które lądolód wyrwał z podłoża Skandynawii, występuje tam na powierzchni tylko w jednym miejscu. Zatem lądolód mógł te skały wyerodować tylko z takiego konkretnego punktu, dokładnie opisanego współrzędnymi geograficznymi. Możemy więc precyzyjnie wskazać miejsce pochodzenia tych głązów. To tzw. eratyki przewodnie. Stanowią jednak tylko ok. 10% wszystkich eratyków. Narzutniaki zbudowane ze skał odsłaniających się na powierzchni w więcej niż jednym miejscu Skandynawii, to tzw. eratyki wskaźnikowe, które stanowią kolejne 30-40% wszystkich eratyków. Niestety, dokładne określenie pochodzenia większości głązów polodowcowych nie jest możliwe, gdyż skały z których są zbudowane, występują na rozległych obszarach Skandynawii. Należy też zwrócić uwagę na termin „głąz”, który niesie z sobą konkretną informację. Otóż głąz to obtoczony fragment skały (o zaokrąglonych krawędziach) o średnicy ponad 20 cm. Mniejsze obtoczone fragmenty skał, o średnicy 2 mm do 20

Fot. 3. Głąz w Parku im. Powstańców Wielkopolskich



cm, to ziarna żwiru, a jeszcze mniejsze to ziarna piasku. Głazy polodowcowe swe obtoczenie nabyły podczas transportu w lodzie oraz w rzekach roztopowych lądolodu, gdzie były skutecznie „szlifowane” – obtoczone.

Na ziemi śremskiej i w samym Śremie głazy narzutowe występują licznie. Największe i najbardziej okazałe pełnią często funkcje pamiątkowe, stanowiąc podstawę pod tablice lub popiersia osób zasłużonych dla miasta i regionu lub upamiętniając szczególnie istotne wydarzenia. Są zatem stosownie wyeksponowane. Przykładem są dwa głazy znajdujące się na skwerze przed śremskim liceum przy ul. Poznańskiej: większy (granit) z popiersiem gen. Józefa Wybickiego (Fot. 1), mniejszy z tablicą upamiętniającą stacjonowanie brygady kawalerii w budynku szkolnym w czasie kampanii wrześniowej w 1939 roku. Kolejne dwa głazy wyeksponowano przy wieży ciśnień, od strony ul. Mickiewicza. W tym przypadku większy głaz (granit) upamiętnia 750-lecie Śremu, a mniejszy (gnejs) umieszczenie na wieży w dniu 30 grudnia 1918 roku pierwszej polskiej flagi w Śremie, po odzyskaniu niepodległości (Fot. 2). W sąsiedztwie wieży ciśnień, przed przedszkolem Słoneczna Gromada, znajdziemy kolejny głaz (granit) upamiętniający powstanie przedszkola, a na rondzie im. Jana Pawła II na Jezioranach głaz poświęcony 25. rocznicy powstania NSZZ Solidarność. Okazałe głazy znajdują się w śremskich parkach. W Parku Powstańców Wielkopolskich znajduje się zespół trzech głazów również upamiętniających 750-lecie Śremu, a inny pobliski 12-tonowy głaz poświęcono pamięci twórców parku (Fot. 3). Jeszcze inny narzutniak w tym parku upamiętnia polskiego noblistę – Władysława Reymonta. Liczne mniejsze głazy zdobią skwery parku, jak również stanowią budulec małej architektury tamtejszego Ogrodu Jordanowskiego im. Sylwestra Szczepskiego. Natomiast w Parku Śremskich Odlewników na Jezioranach znajdziemy okazały głaz (granit) upamiętniający powstanie Odlewni Żeliwa i parku (Fot. 4), a w nieznaczej odległości od niego, u zbiegu ulicy Grunwaldzkiej i St. Staszica, wyeksponowano cztery kolejne duże głazy granitowe, nie pełniące jednak funkcji pamiątkowej.

Również w najbliższej okolicy Śremu nie brak okazałych eratyków przypominających określo-

ne osoby lub wydarzenia. Przy dworze w Manieczkach znajdziemy głaz z tablicą upamiętniającą 205. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, a w parku otaczającym dwór głaz poświęcony 218. rocznicy urodzin gen. Józefa Wybickiego – twórcy hymnu narodowego oraz inne duże głazy z tablicami pamiątkowymi. W Mechlinie, w parku otaczającym tamtejszy dwór, w 1995 roku ustawiono głaz z tablicą upamiętniającą 150. rocznicę śmierci Edwarda Raczyńskiego. W Grzybnie, w parku otaczającym zespół dworski, znajdziemy głaz poświęcony 50. rocznicy utworzenia tamtejszego Zespołu Szkół Rolniczych, a przy wjeździe do Dolska od strony Śremu, pod stokami wzniesienia moreny czołowej osiągającego 114 m n.p.m., na którym znajduje się punkt widokowy (temat poprzedniego artykułu tego cyklu), bez trudności odszukamy głaz upamiętniający bohaterów walk o wolną Polskę w roku 1918.

Oczywiście to tylko część okazałych głazów na ziemi śremskiej pełniących funkcję pamiątkową. No cóż, wiele z nich uzyskałoby zupełnie inny blask i urok, gdyby choć raz w roku solidnie je umyto. Tym pamiątkowym głazom należy się to w sposób szczególny.

Liczne mniejsze głazy zdobią skwery, parki i ogrody, a największe ich ilości znajdziemy wśród pól. To powszechnie znane kamienie polne. Głazy polodowcowe od wieków stanowią również materiał budowlany. Możemy je znaleźć w elewacjach wielu budynków, w podmurówkach itp. Znakomity przykład stanowi najbardziej znana budowla Śremu, jaką bez wątpienia jest wieża ciśnień, której budowę ukończono w 1909 roku. Jej podstawa niemal w całości została wykonana ze skandynawskich głazów narzutowych. Stanowią one znakomity przegląd różnorodności tychże głazów. Możemy zatem śmiało powiedzieć, że śremska wieża ciśnień stoi na materiale skandynawskim przytransportowanym przez lądolód.

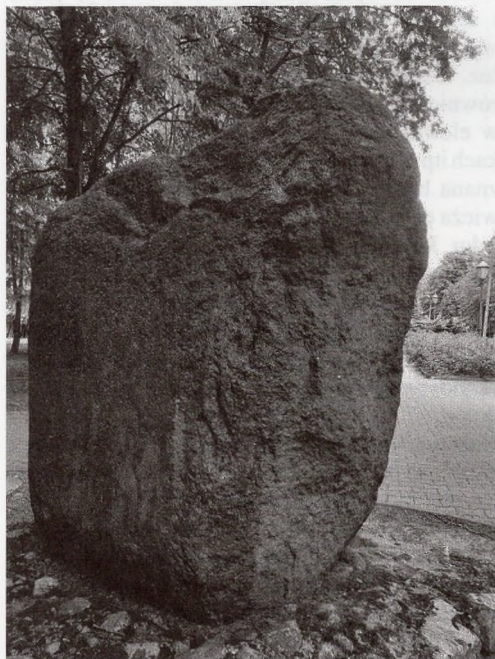
Należy również wspomnieć, że od dziesięcioleci w świetle obowiązującego w Polsce prawa ochrony przyrody, głazy narzutowe mogą podlegać prawnej ochronie jako pomniki przyrody. Pomnikowe głazy znajdziemy również na ziemi śremskiej, choć brak ich w gminie Śrem. Pod tym względem wyróżnia się gmina Dolsk, gdzie w rejonie wsi Brzeźnica, Małachowo i Księginki

znajduje się największe skupisko prawnie chronionych głazów narzutowych w Wielkopolsce. W pobliżu Brześnicy znajdują się trzy pomnikowe głazy. Jest to: gnejs o obwodzie 1080 cm, długości 436 cm i wysokości 130 cm, leżący w polu przy drodze do Lipówki; piaskowiec o obw. 1330 cm, dł. 540 cm i wys. 116 cm, znajdujący się w lesie przy powyższej drodze oraz granit o obw. 1490 cm, dł. 540 cm i wys. 135 cm, przy leśnej drodze z Brześnicy do Ostrowieczna. Natomiast przy drodze z Małachowa do Gaju leży inny chroniony granit o obw. 650 cm, dł. 265 cm i wys. 145 cm. W sąsiednich Księginkach, przy jednym z gospodarstw leży zwieziony z pola kolejny pomnikowy granit o obw. 780 cm, dł. 320 cm i wys. 140 cm. Łącznie w gminie Dolsk znajduje się 8 eratyków prawnie chronionych jako pomniki przyrody. Pojedyncze głazy chronione w ten sposób znajdziemy w rejestrze pomników przyrody gminy Książ Wielkopolski i Zaniemyśl. Na zakończenie warto dodać, że największy eratyk w Wielkopolsce, zwany Kamieniem św. Jadwigi lub św. Kingi, znajduje się około 3 km na południe od Gołuchowa (południowa Wielkopolska). Jest to granit o obw. 22 m, dł. 8,5 m, wys.

3,5 m. To szósty pod względem wielkości głaz narzutowy w Polsce. Jaki zatem jest ten największy? Nazwano go Tryglaw i znajduje się we wsi Tychowo w województwie zachodniopomorskim. Jest to gnejs posiadający obw. 50 m, dł. 16 m, wys. 7,8 m i masę rzędu 2000 ton. Nieco bliżej Śremu, w Jeziorach koło Mosiny, przy budynku Dyrekcji Wielkopolskiego Parku Narodowego, możemy zwiedzić ogródek petrograficzny, w którym wyeksponowano 20 typów głazów narzutowych charakterystycznych dla rejonu parku. Wszystkie są podpisane, ze wskazaniem miejsca ich pochodzenia. To wyśmienity cel wakacyjnej wycieczki.

Niemal każdego dnia podczas drogi do pracy, do szkoły, na spacerze lub w innych okolicznościach spotykamy różnej wielkości głazy, a także mniejsze fragmenty skał – pospolite kamienie. Zazwyczaj nie zwracamy na nie większej uwagi. Spójrzmy jednak na nie jak na fragmenty Skandynawii, porozrzucane po ziemi śremskiej „kawałki” Szwecji lub Norwegii, które przebyły setki kilometrów w ładłodzie, spędzając w jego wnętrzu kilka tysięcy lat, a skały z których są zbudowane „pamiętają” najbardziej odległe dzieje Ziemi. Zanim kopniemy taki kamień, rzucimy go do jeziora, rzeki lub psu dla zabawy, pokażmy się o refleksję, ile owe skały mogłyby nam opowiedzieć, gdyby tylko potrafiły...

Fot. 4. Głaz w Parku Śremskich Odlewników



W kolejnym artykule z cyklu *Na tropach lodowca po ziemi śremskiej* zastanowimy się, dlaczego niektóre obszary tej ziemi posiadają bardzo słabo zróżnicowaną rzeźbę, a miejscami są płaskie jak przysłowiowy stół. Czy to oznacza, że są miejsca, w których ładłod skandynawski, ten wyśmienity rzeźbiarz powierzchni terenu, niczego nie wyrzeźbił? Miejsca, w których nie pozostawił swoich tropów? Czy to możliwe?

Fot. Michał Lorenc

Leszek MAŃKOWSKI

Maski

Jestem, więc pytam

Nieuczciwy udaje uczciwego, leniwy pracowitego, niesprawiedliwy sprawiedliwego. Diabeł ubiera się w ornat, oprawca mieni się ofiarą, złodziej woła: łapać złodzieja. Niewierny chce uchodzić za wzór wierności, niemoralny naucza moralności. Bywa też, że dobry udaje gorszego, a mądry nie afiszuje się wiedzą. Na ile, i dlaczego, kłamstwa, mistyfikacje, „mijanie się z prawdą” zadomowiły się w naszym życiu?

W jaki sposób, w jakim zakresie na moje zachowania, moje postępowanie wpływają inni ludzie, uwarunkowania społeczne czy kulturowe? Kiedy kłamię? Dlaczego nie jestem szczery? Co powoduje, że skrywam swój prawdziwy wizerunek? Co uzyskuję oszukując innych? Moje zachowanie wobec innego może być grą, on też może grać. Może ta gra we wzajemnych relacjach nie tylko jest dopuszczalna, może jest wręcz warunkiem funkcjonowania jednostki w społeczeństwie?

Wszyscy jesteśmy aktorami? Józef Tischner stwierdza jednoznacznie „Człowiek żyje w ten sposób, że bierze udział w dramacie – jest istotą dramatyczną. Inaczej żyć nie może. Jego naturą jest dramatyczny czas oraz dwa otwarcia – intencjonalne otwarcie na scenę i dialogiczne otwarcie na innego człowieka. Być istotą dramatyczną znaczy: istnieć w określonym czasie i w określony sposób otwierać się na innych i na świat – scenę” [ten cytat i natępne: Józef Tischner *Filozofia dramatu*, Wydawnictwo Znak. Kraków 1998]. Występujemy więc na scenie dramatu; dramatu, który ma swój czas. Sceną dramatu, w którym uczestniczymy, jest świat – płaszczyzna ciągłych spotkań i rozstań; przestrzeń wolności, w której szukamy swojego miejsca, swojego domu.

Jestem aktorem; patrz na mnie koledzy zza kulis, moją grę obserwują z widowni obcy ludzie. Jestem także widzom; obserwując grę innych biorę

coś dla siebie. Przyjęte reguły życia społecznego, zasady zakorzenione w kulturze, religii, ideach – to wszystko tworzy ramy mojej sztuki, przestrzeni, w której spotykam innego. Wokół są ludzie, są ci, którzy uczestniczą w tym samym dramacie, w którym i ja biorę udział. Następuje spotkanie. Píše Tischner: „Inny człowiek staje wobec mnie poprzez jakieś roszczenie, w którego następstwie powstaje we mnie poczucie zobowiązania. Świadomość tego, że drugi jest obecny, dopełnia się jako świadomość roszczenia – roszczenia, które zobowiązuje”.

Otwarcie na dialog... Jestem otwarty? Jak bardzo się otwieram? Może górę bierze nieufność? Co robię, kiedy nie chcę ujawnić prawdy; kiedy się czegoś lub kogoś boję; kiedy chcę okłamać? Co robię, gdy przed sobą nie widzę twarzy spotkanego człowieka?

Zakładamy maski. Chcemy, czy musimy je zakładać, w nich grać? Wymaga tego życie społeczne; czyż bowiem w wyniku obserwacji nie przyjmujemy za własny punkt widzenia otoczenia? Bywa, że występujemy w maskach jak aktorzy w greckim teatrze: maska pokazuje, uwypukla tylko to, co chcę komuś pokazać, pomija całą resztę, którą zachowuję dla siebie. W takich przypadkach maska nie musi zaprzeczać prawdzie. Z reguły jednak maski mają po prostu okłamywać.

Tischner mówi, że maska jest podmiotem sztuki kłamstwa, wręcz arcydziełem tej sztuki. „Nie jest ona zasłona i nie jest twarzą. Zasłona jedynie skrywa twarz, maska kłamie. Maską, jak zasłona, zjawia się dopiero wraz z pojawieniem się innego człowieka; w samotności traci ona sens. Maską jest maską z winy innych – zasłona była z ich powodu. Co znaczy, że maska coś maskuje? Intencjonalność maski jest intencjonalnością

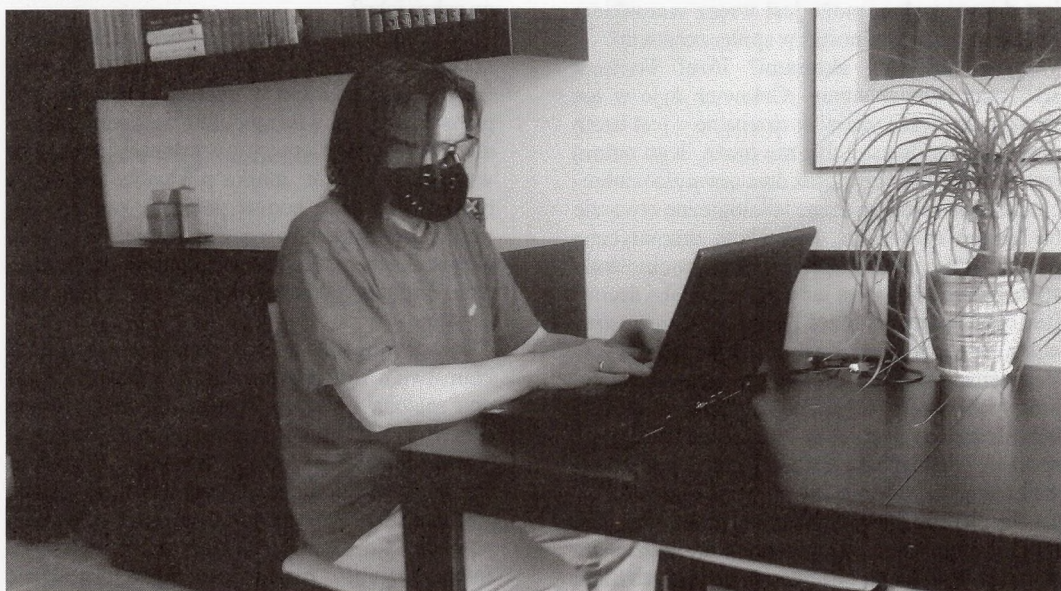
Leszek Mańkowski
Maski

Jestem, więc jestem

pokrętną: maska stara się stworzyć ułudę będącą przeciwieństwem tego, jak coś naprawdę jest. [...] Między maską a maskowaną prawdą ustala się coś na kształt przeciwieństwa aksjologicznego: wartość negatywna chce się przedstawić jako pozytywna”. Maskę zakładamy świadomie i dobrowolnie; wraz z życiowym doświadczeniem robimy to coraz częściej odruchowo – niejako w sprawdzony sposób zachowania w takiej, a nie innej sytuacji, w spotkaniu z takim, a nie innym człowiekiem. Dzięki masce możemy coś uzyskać? A może ona jest po to, żeby czegoś nie utracić? Świadomie grając maską, nie powinno się zapominać, że współuczestnicy dramatu też mogą używać masek. Dlaczego więc tego nie zauwa-

żamy? Możemy nie zidentyfikować maski, gdy bardzo dobrze imituje ona twarz i na pierwszy rzut oka od niej się nie różni. Możemy nie widzieć masek – jeśli uważamy kogoś za reprezentanta szanowanej przez nas instytucji czy organizacji, za człowieka o zgodnych z naszymi przekonaniami politycznych, za głosiciela uznawanych przez nas wartości. Zakładamy wtedy, że ktoś taki nie oszukuje. A nawet, gdy coś u niego nas zaniepokoi, zachwieje naszym zaufaniem, to – jego kłamstwa, złe postęпки usprawiedliwiamy, marginalizujemy. Znajdujemy wówczas jakieś wyższe dobro naszej wspólnoty, które należy chronić poprzez niereagowanie na ujawniane niedoskonałości jej członków – właśnie w imię tegoż do-

Fot. Anna Mańkowska



bra, dla obrony wizerunku. Takie pojmowanie wspólnotowości może nas doprowadzić do wytworzenia własnego, wyimaginowanego świata; zbudowania alternatywnej sceny spotkań – sceny tylko dla swoich, dla tych, którzy chcą grać w naszej sztuce – sceny otoczonej barierami, mocno ochranianej.

Mogę widzieć maskę, kłamiącą maskę i – nie reagować. Dlaczego milczę, milczeniem przyzwalając na zło? Znowu są tutaj: wdrukowane obyczaje, religijność schorowanej wyobraźni, zachowania stałe, ale nie tylko. Powody mogą wypływać z innych źródeł, np.: Nie wychylam się, żeby nie stracić stanowiska, uznania w mojej wspólnocie, intratnej posady czy po prostu pracy. Milczę, bo chcę uzyskać stanowisko... itd. Widzę maskę, więc maskę zakładam. A jeśli akurat jestem dawcą dóbr – śmieiej głoszę swoją nieprawdę, gdy przede mną są maski, gdy na widowni są klakierzy.

Dlaczego nie demaskujemy – drugiego, siebie? Dlaczego pozwalamy grać szulerowi? Dlaczego sami gramy nie fair? Dlaczego udajemy, że masek nie widać? Dlaczego boimy się zdemaskowania? Na wszystkie pytania – dlaczego? – jest jeszcze jedna istotna odpowiedź, odpowiedź tych licznych, którzy uważają, że najważniejszym świętym jest święty spokój.

Rekwizytornia naszego teatru dysponuje szerokim asortymentem masek. Możemy je zmieniać stosownie do potrzeb, a zależnie od okoliczności – nawet grać w tej samej scenie równocześnie różnymi maskami. Piszcie Tischner: „Biorąc pod uwagę pochodzenie maski – pochodzenie, które wyciska piętno na jej treści – można mówić o masce poczucia niezadowolenia, masce autoironii, masce cierpiętniczej. Nie wyczerpuje to wszystkich możliwości, ale te trzy przypadki są dość

typowe”. Jednak, nawet typowe przypadki zawierają szereg „odmian” masek. Istnieją różne sposoby objawiania maski – zależnie od tego, komu maskę pokazujemy. Tischner opisuje przeznaczanie maski dla innych w sposób następujący: „Maska zawiera również odniesienia do innych. Jest z winy innych i zarazem dla nich. W przekonaniu maskujących się stanowi wykwit alienacji. Naprawdę dowodzi zmniejszonego poczucia odpowiedzialności za siebie – jest dziełem tych, którzy nie wzięli w posiadanie siebie. Proces maskowania idzie w parze z oskarżaniem i obwinianiem innych. Logika maski wyłania się z poczucia winy: człowiek sądzi, bo nie chce być sądzony. Maskowanie to nie tylko łudzenie innych, lecz także kara dla nich: „Macie mnie takim, jakim chcecie mnie mieć, a więc nie macie mnie naprawdę – sami temu jesteście winni”. Maską wyraża nieurzeczywistnione marzenie poddanych, by władać nad tymi, którzy rządzą”. Maską jest podmiotem, arcydziełem sztuki kłamstwa. Kłamstwo jest nieetyczne, ale – czy zawsze? Czy maska może mieć wymiar pozaetyczny? Jak bowiem określić np. oszukiwanie innych (tyrana, reżimowej władzy) w celu ocalenia wartości, wartości estetycznych, ekonomicznych, politycznych itp. A jak, na gruncie etyki, jednoznacznie ocenić niemówienie choremu całej prawdy o jego stanie?

Co się dzieje, gdy maska zaburza mi ogląd rzeczywistości? Co – jeżeli mi w masce tak dobrze, że wolę maskę od twarzy; a co – jeśli okłamuję siebie?

Kiedy zdejmuję maskę? Pokazuję komuś twarz, czy zachowuję ją tylko dla siebie? Pytania możemy mnożyć.

Adam LEWANDOWSKI

Odeszli na zawsze

Warto przypomnieć

Temat dzisiejszego eseju miał dotyczyć życia i twórczości wielkiego – nie przesadzam – Jerzego Pilcha. Kiedy 19 czerwca br. usiadłem przed komputerem, dotarła do mnie wiadomość o śmierci twórcy *Cienia wiatru* – Carlosa Ruiza Zafóna. Nie sposób pominąć jego twórczości i działalności. Śmierć dwóch wielkich literatów – polskiego i hiszpańskiego – to bolesne zdarzenie, które pozbawia nas kolejnych doznań literackich. Musimy się zadowolić tym, co pozostawili – a jest to ogromny dorobek.

Jerzy Pilch, autor *Pod Mocnym Aniołem* (mojej ulubionej powieści), urodził się 10 sierpnia 1952 r. w Wiśle. Był pisarzem, publicystą, felietonistą, dramaturgiem i scenarzystą filmowym, laureatem wielu nagród. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie studiów zaprzyjaźnił się z Marianem Stałą i Bronisławem Majem. W latach 1975–1985 był adiunktem w Instytucie Filologii Polskiej UJ, rozpoczął też studia doktorskie na tej uczelni. W 1975 r. zadebiutował jako krytyk literacki, a od 1978 był redaktorem czasopisma „Student”. W latach 80. zaangażował się w tworzenie niezależnego czasopisma kulturalno-literackiego „NaGłos”. Związał się też z „Tygodnikiem Powszechnym” i w latach 1989–1999 był członkiem jego zespołu redakcyjnego. Publikował felietony kolejno na łamach „Hustlera”, „Polityki” (od marca 1999 r. do czerwca 2006), „Dziennika” (od czerwca 2006 do sierpnia 2009) i „Przekroju” (od stycznia 2010 do listopada 2011).

W 1989 otrzymał Nagrodę Fundacji im. Kościelskich za tom poetycki *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej*. W maju 1998 za książkę *Tysiąc spokojnych miast* otrzymał wyróżnienie Krakowska Książka Miesiąca. W tym samym ro-

ku został laureatem Paszportu „Polityki” za powieść *Bezpowrotnie utracona leworęczność*. W 2001 otrzymał Nagrodę Literacką „Nike” za powieść *Pod Mocnym Aniołem*. Był także pomysłodawcą Ogólnonarodowego Konkursu na Opowiadanie, który ogłosił na łamach „Polityki” pod koniec 2003 r. Konkurs nosił nazwę *Pisz do Pilcha*, a jego owocem jest antologia *Pisz do Pilcha. Opowiadań współczesnych trzydzieści i trzy* (2005). W 2004 otrzymał Nagrodę im. ks. Leopolda Jana Szersznika za całokształt twórczości i promocję Śląska Cieszyńskiego. Na zamówienie Teatru Narodowego napisał komedię *Narty Ojca Świętego* (2004). W 1994 r. jego powieść *Spis cudzołóżnic. Proza podróżna* została przeniesiona na duży ekran. Reżyserem, autorem scenariusza oraz odtwórcą głównej roli w filmie *Spis cudzołóżnic* jest Jerzy Stuhr. Pilch był współtwórcą dialogów do adaptacji, pojawił się również na ekranie w epizodycznej roli męczyzny, którego główny bohater spotyka w barze. W 2013 r. film *Pod Mocnym Aniołem* na podstawie powieści Pilcha wyreżyserował Wojciech Smarzowski, który był też autorem scenariusza. Był również autorem scenariuszy do dwóch filmów z cyklu *Święta polskie: Żółtego szalika* (2000) oraz *Miłości w przejściu podziemnym* (2006). Pierwszy obraz został nagrodzony m.in. na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

Jego sztuki były adaptowane dla potrzeb Teatru TV: *Monolog z lisiej jamy* (1998), *Narty Ojca Świętego* (2006), *Zabijanie Gomułki* (2018). Ponadto na podstawie jego powieści *Inne rozkosze* powstał spektakl telewizyjny pod tym samym tytułem (1998).

Należał do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Jak wyznał w swoim *Dzienniku* od 2009 był osobą niewierzącą, jednakże na jego końcu stwierdził, iż Bóg istnieje. Był kibicem klubu piłkarskiego Cracovia. Z żoną Anną miał córkę Magdalenę.

W 2012 ogłosił, że cierpi na chorobę Parkinsona, przy czym schorzenie to ujawniło się w związku z nadużywaniem przezeń alkoholu, do czego sam się publicznie przyznawał. Życie z tym nieuleczalnym schorzeniem i związana z tym świadomość powolnej degeneracji własnego ciała i umysłu należały do głównych tematów, jakie Pilch poruszał w latach 2012–2013 w swoim *Drugim dzienniku*. Od grudnia 2019 mieszkał z żoną w Kielcach. Tam też – 29 maja br. zmarł w wieku 67 lat. Po nabożeństwie żałobnym w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w Kielcach urna z prochami pisarza została złożona na cmentarzu Starym w Kielcach.

Carlos Ruiz Zafón z wykształcenia był dziennikarzem, urodził się 25 września 1964 r. w Barcelonie. Do swoich ulubionych autorów zaliczał Dostojewskiego, Tolstoja i Dickensa. Od 1993 r. mieszkał w Los Angeles, gdzie poświęcił się pisaniu scenariuszy filmowych i powieściopisarstwu. Jego pierwsze cztery książki były adresowane do młodzieży (za *Księżę mgły* otrzymał nagrodę Edebé).

Kolejne cztery książki (*Cień wiatru*, *Gra anioła*, *Wieżień nieba* oraz *Labirynt duchów*), których fabuła jest bardziej rozwinięta w stosunku do poprzednich, skierowane są raczej do starszych czytelników. Powieść *La sombra del Viento* [Cień

wiatru], wydana po raz pierwszy w 2001, została do 2008 przetłumaczona na ponad 45 języków i sprzedana w ponad 10 milionach egzemplarzy, m.in. w Niemczech, Brazylii, Danii, Francji, Włoszech, Finlandii, Portugalii, Stanach Zjednoczonych, Ameryce Łacińskiej i również w Polsce.

Sam Zafón podkreśla, że książki zawsze zajmowały wyjątkowe miejsce w jego domu rodzinnym. Uczęszczał do jezuickiej szkoły San Ignacio de Sarrià. W czasie studiów pracował w jednej z agencji reklamowych w Barcelonie, jednak w 1992 r. zrezygnował z posady i postanowił całkowicie poświęcić się literaturze. Pomimo licznych propozycji, Zafón nigdy nie zgodził się na ekranizację *Cienia wiatru*. Swoją decyzję argumentował tym, że nie potrzebuje pieniędzy, które by na tym zarobił, oraz tym, że nie wierzy, iż film mógłby być w jakimkolwiek stopniu lepszy od obrazu, jaki czytelnik sam tworzy w swojej głowie, gdy zasiada do czytania jego powieści.

Zmarł 19 czerwca br. na raka jelita grubego w swoim mieszkaniu w Los Angeles.

Na podstawie relacji zasobowych internetu po śmierci Jerzego Pilcha i Carlosa Ruiza Zafona

Ewa NOWAK

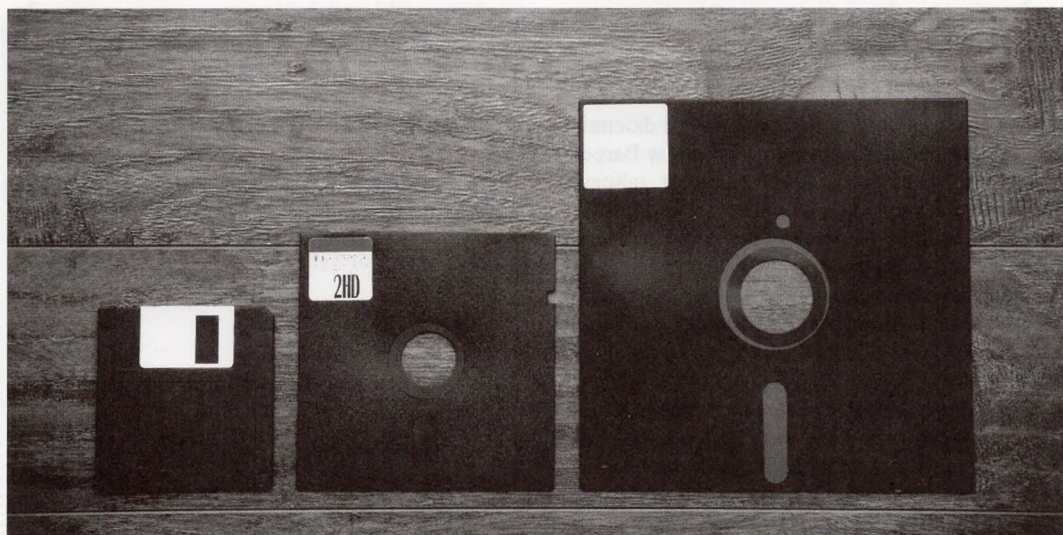
Dyskietka

Rzeczy minione

Dyskietka, inaczej dysk miękki (ang. floppy disk) – dysk wymienny, przenośny nośnik magnetyczny o niewielkiej pojemności, umożliwiający zarówno odczyt, jak i zapis danych. Nośnikiem danych jest wirujący krążek z wytrzymałego tworzywa sztucznego, najczęściej mylaru, pokryty warstwą magnetyczną. Polska nazwa dyskietka została prawdopodobnie zaproponowana przez Jana Bieleckiego. Niektórzy uważali, że bardziej poprawną formą jest dyskietka, z racji tego, że jest to słowo z języka francuskiego

Pierwsza dyskietka została wyprodukowana w 1971 r. i rozmiarami przypominała tablet, miała 8 cali. Miała też zawrotną pojemność 80 KB (kilobajtów). Na tamte czasy to zawrotna wielkość, jednak to zaledwie 0,8 MB (megabajta) lub

0,08 GB (gigabajta). Taka powierzchnia pozwalała zapisać artykuł, który zawierał około 81920 znaków razem ze spacjami, więc niewiele. Produkowana była do 1975 r. Jej pojemność stale się zwiększała. Była nieporęczna, nazywana miękką, podatna na uszkodzenia i pakowana w specjalne koperty, w których była przechowywana. W następnych latach pojawiły się dyskietki o większej pojemności i mniejszych rozmiarach. W drugiej dekadzie XXI w. dyskietki zostały niemal wyparte przez pamięci USB i pamięci flash, które miały znacznie mniejsze rozmiary i znacznie większą pojemność. Nadal jednak są wykorzystywane przez niektóre siły zbrojne oraz powszechnie w starszych maszynach przemysłowych jak obrabiarki CNC, maszyny hafciarskie.



Marta TOK

Odette

Opowiadanie

Każdy inaczej próbuje oszukać śmierć. Na przykład Odette, rano kąpała się w zimnym jeszcze morzu, a potem oskrobywała łuszczącą się farbę z niebieskich okiennic, by pomalować je na nowo. Miała sześćdziesiąt sześć lat. Dawno temu straciła w nieszczęśliwym wypadku jedno ze swoich czworga dzieci, najstarszą córkę. A jednak codziennie, podśpiewując przy tym, gotowała lunch dla całej rodziny i gości, a potem waliła w gong, wesoło nawołując domowników, by zeszli się z zakamarków wielkiego domu do kuchni na obiad. Czasami piekła ciasto. Koło piątej przychodzili zaprzyjaźnieni sąsiedzi na partię scrabble, a Odette śmiała się oczami, całą twarzą i rozczochraną, krótką, siwą czupryną, śmiała się swoim ciepłym, gardłowym śmiechem, niezmiennie ich ogrywając i częstując zakalcowatym plackiem. Po obiedzie odpisywała na listy. Miała w swojej sypialni śliczne, rzeźbione biurczko, przy którym codziennie siadała, brała pióro i kartkę z eleganckiej papeterii i pisała do swoich licznych przyjaciół. „Chère Marie-Louise, cieszę się, że noga przestała Cię boleć. Już zaczynałam się o Ciebie martwić. U nas wszystko w jak najlepszym porządku, Bernard bardzo zadowolony i wypoczęty, po ostatnim osłabieniu nie ma już ani śladu. Claire jest tylko przejazdem, w najbliższy piątek wylatuje z powrotem do Mongolii. Odwiedziła nas petite Helen, jest adorable, pomaga mi malować okiennice, ale tylko popołudniami, bo długo śpi. W naszej parafii mamy nowego proboszcza, ojca Martina, bardzo energicznego, zaczęliśmy zbiórkę rzeczy dla ubogich. Mam nadzieję, że Twoje zdrowie poprawi się na tyle, byś mogła nas tu odwiedzić pod koniec lata. Catusy. Twoja Odette”... ”Drogi Fernandezie...”

Dom stał nad samym morzem. Od niewielkiej plaży dzieliła go tylko ścieżka. Przechodziło się przez furtkę albo murek, robiło parę kroków i hop, już mogłeś zacząć się zanurzać w spokojnych wodach zatoki Morbihan.

To właśnie tam Helena nauczyła się pływać. I na zawsze polubiła morze. Nigdy nie została wielką pływaczką, ot, tyle by płynąć powolną żabką podziwiając krajobraz. Uwielbiała patrzeć od strony morza na surowe, białe-niebieskie nabrzeże, z kilkoma kawiarnianymi parasolami i kolorowymi łódkami rybackimi kołyszącymi się na falach. Wszystkie domy miały białe fasady i niebieskie drewniane okiennice, tylko dom Odette, największy z nich, nie licząc Hotelu Pod Muszelką, miał okiennice granatowe. Stał trochę na uboczu, przy końcu nadmorskiej ścieżki i niewątpliwie był tu jednym ze starszych. Odette odziedziczyła go po śmierci ojca, oficera, służącego większość życia we francuskich koloniach, a on po swoich rodzicach, prawdziwych bretońskich rybakach.

W małym domku obok mieszkała Annick, emerytowana pielęgniarka. Surowa i dość szorstka, lubiła wspominać przy winie swoją wieloletnią pracę w afrykańskim buszu. Działy się tam rzeczy, których nie moglibyście sobie nawet wyobrazić – mawiała. Pewnego razu, podczas kolacji w jej domu, opowiedziała Helenie o nieboszczykach wstających z grobu.

Przynieśli go na noszach skleconych z gałęzi i oddali nam. Doktor, zapewniam cię, bardzo doświadczony, zbadał faceta i stwierdził zgon. Położyliśmy go w kostnicy. W nocy usłyszeliśmy bębny – czy mogłabyś mi dolać kapinkę, Helen, nieźle to bordeaux, prawda? No dalej, nie żałuj i sobie. A więc usłyszeliśmy bębny. Już wcześniej wiele razy dochodziły nas dźwięki bębnow z buszu, tak spędzali czas świąteczny, ale wtedy coś

nas tknęło, brzmiało to jakoś bardziej dziko, dynamiczniej. Doktor, ja i jeszcze parę osób zakradliśmy się pod wioskę. Z krzaków okalających polanę za domami obserwowaliśmy całe widowisko. Monotonne dźwięki, krążąca miseczka z tykwy z palmowym alkoholem, transowy taniec, pomalowane na kolorowo twarze – wyglądali niesamowicie i dosyć strasznie. Nie rozumieliśmy, co tam się dzieje. Doktor zarządził odwrót do ośrodka. Następnego dnia, – podaj no tę butelkę bliżej Helen – patrzmy, a tu na podwórko wkracza cały dosłownie pochód – rodzina naszego umarlaka, sąsiedzi, chyba cała wioska. Wchodzą do kostnicy, doktor za nimi, ja za nim. Próbuje ich zatrzymać, ale oni nic, prosto do ciała. Otaczają zwłoki i za chwilę, na naszych oczach facet wstaje, żywy! I wracają do wioski tak jak przyszli. Umarlak szedł o własnych siłach. Wyobrażasz to sobie Helen? Trudno w to uwierzyć, ale ja to sama widziałam. I inne rzeczy też. Afryka... Annick milknie i w zadumie spogląda na pofalowane morze. Siedzą długo w ciszy, a Helena nie wie, co myśleć. Annick nie wygląda na kogoś, kto opowiada niestworzone historie. Jest raczej racjonalna, poważna i stanowcza. Musiało być tak, jak mówiła.

Dom Odette pełen był książek. Ogromny salon zastawiono wiekowymi, eklektycznymi fotelami, biurkami i biureczkami, stare lampy podłogowe miały klosze z frędzlami, biurkowe zaś witrażowe, kolorowe. Książki były tam wszędzie – w oszklonej biblioteczce, na niedużych bambusowych regałkach, na stolikach, podręcznych giętych mebelkach. W każdej chwili można było usiąść i zatopić się w lekturze, od czasu do czasu spoglądając przez duże okna na ocean oświetlony na granatowo ostatnimi promieniami słońca.

Na pierwszym piętrze, w korytarzu prowadzącym do trzech sypialni, umieszczono duży regał z lekturami „wakacyjnymi”, wśród nich Helena znalazła prawie kompletne kieszonkowe wydanie kryminałów Agathy Christie, a także licznie reprezentowaną Jane Austen. Czytała więc namiętnie nocami, wszystkie książki po kolei.

Od kiedy pamięta, Helena bała się zasypiać. Nie, żeby miała jakieś kłopoty ze snem, to nie. Po prostu obawiała się tego zanurzenia w inną rzeczywistość, w niebyt, rodzaj śmierci na niby. Tak to

sobie tłumaczyła. Szkoda jej było dnia, który właśnie minął, więc przedłużała go, czytając książki, głupie artykuły w gazetach, a później, dużo później – oglądając filmy i seriale. Pograżając się w fikcyjnym świecie, z wymyślonymi bohaterami, uciekała przed śmiercią, do której zbliżał ją kolejny mijający dzień.

Wtedy, nad Atlantykiem, w domu Odette, całkowicie pochłonęła ją lektura Agathy Christie. Jaka to była elegancka proza, jaki wytworny świat! Panowie pili porto i palili cygara po kolacji, panie intrygowały i jeździły kabrioletami z rozwianym na wietrze szalem a la Isadora Duncan. Okno sypialni, z wielkim drewnianym łóżem z kolumienkami i strasznie starą pękatą szafą ze skrzypiącymi drzwiami, wychodziło na plażę. Helena czytała przy wtórze szumu fal, aż świt zaczynał zaglądać w okno i coraz głośniejszy stawał się skrzek mew. Wtedy dopiero zasypiała.

Kiedys przyjechała do domu Odette sama, w środku zimy. Trochę się bała, bo w okolicznych domach nie było prawie nikogo, na zimę większość właścicieli wracała do ciepłych mieszkań w dużych miastach. Wprawdzie, tuż za ścianą, była Annick, co dodawało Helenie nieco otuchy, ale po nocach, kiedy już zasnęła, straszły ją afrykańskie postaci nieumarłych (to podczas tego pobytu Annick opowiadała jej swoje historie).

Właśnie wtedy, na strychu domu, Helena odkryła szafę pełną kobiecych ubrań i akcesoriów z początku dwudziestego wieku. Czarne suknie wykończone koronką, wystrzępione parasolki, haftowane paciorkami torebki, kapelusze ze wstążkami, stare kufrы i skórzane walizy, cylinder i nawet frak. Założyła jedną z sukien, kapelusz i poszła na plażę. Świeciło dziwnie mocne lutowe słońce, był odpływ i morze odeszło prawie do połowy zatoki. Nieliczni spacerowicze brodzili w kaloszach po odsłoniętym dnie w poszukiwaniu owoców morza – krabów, okładniczek, zwanych tu nożykami i małych morskich ślimaczków.

Helena spacerowała wzdłuż brzegu w swojej długiej czarnej sukni z koronki z kapeluszem o szerokim rondzie, otulona czerwonym indyjskim szalem, który znalazła w salonie i czuła, że można zatrzymać czas. Trzeba się tylko dostatecznie postarać.



Propozycja holenderskiego magazynu mody i krawiectwa "De Gracieuse" [Gracja] na koniec lata 1901 - dwie suknie
dzienne, geheugenvannederland.nl

Marceli SZCZĘŚNY

Zabawy latowe u „Kuby”

SENTYMENTY

Zaraz za trzecim mostem, w rozwidleniu szos do Poznania i Zaniemyśla znajduje się gospodarstwo rolne, będące od wielu lat w posiadaniu rodziny Błoszyków. Do zabudowań przylega długi ogród, a właściwie laszek. Tutaj znajdowała się pierwsza strzelnica śremskiego Bractwa Kurkowego, toteż po uruchomieniu nowej na Starym Mieście, zaczęto powszechnie używać nazwy Stara Strzelnica, jeszcze w okresie zaboru pruskiego i po wojnie czynna tam była restauracja. Jej właściciel, Jakub Błoszyk, znany był powszechnie jako Kuba.

Lokal ten odegrał pewną rolę w historii konspiracyjnego gimnazjalnego Towarzystwa Tomasza Zana w czasie niewoli. Tutaj odbywały się co pewien czas w nocnej porze uroczyste zebrania, tzw. fidułki, połączone jakby dziś powiedzieć z konsumpcją. Oczywiście te spotkania musiały być odpowiednio ubezpieczone.

U Kuby znajdował się pierwszy popas handlarzy z Dolska i Gostynia, którzy jechali nocą z bydłem i nierogacizną na targi żywca do Poznania. Specjalnością tej restauracji w cieplej porze roku był chleb wiejski z masłem i maślanką. Często zachodziliśmy tam na te smakowitości, wracając z leśnej wycieczki albo z wyprawy na grzyby czy jagody.

Największe jednak atrakcje u Kuby wypadły w letnie niedziele. Nie było tygodnia, żeby na mieście nie ukazywał się afisz z zapowiedzią, że takie to a takie towarzystwo czy organizacja urzęda w najbliższą niedzielę „Zabawę latową” w Starej Strzelnicy, obiecując wiele niespodzianek (zresztą z góry już wszystkim znanych). Była to prawdziwa frajda dla dzieciarni, która dołą-

czała do pochodu idącego z orkiestrą na czele przez miasto do Kuby. Przez całe popołudnie można było brać udział w różnych grach, zawodach i zabawach. Najczęściej było to bieganie w workach, wspinanie się na słup posmarowany mydłem po kiełbasę zawieszoną na końcu, strzelanie z wiatrówki, koło szczęścia, loteria fantowa, na której wygrywało się kury, króliki, a główną wygraną stanowił prosiak. Dla zakochanych zaś tradycyjna „poczta japońska”. Dzieci najchętniej kręciły się przy stoiskach ze słodyczami, napojami chłodzącymi, a zwłaszcza przy wózkach z lodami. A wieczorem, przy zapalonych lampionach rozpoczynały się tańce, ale trwały tylko do północy, bo jutro dzień pracy.

Myślę, że takie zabawy na świeżym powietrzu jednak zdrowsze były od dzisiejszych dyskotek.

„Głos Śremski” 07/1985

Stara Strzelnica w Zbrudzewie, 1901 r. Fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Ewa BIAŁY

Muzyka na lato

Wszystko gra

Rudy książd. Urodzony w Wenecji. Miał zaledwie 25 lat, gdy rozpoczął prace w sierocińcu, którego celem było zapewnienie schronienia i edukacji opuszczonym i osieroconym dzieciom. Chłopcy uczyli się tu zawodu i musieli odejść, kiedy skończyli piętnaście lat. Dziewczęta otrzymywały wykształcenie muzyczne. Najzdolniejsi uczniowie zostawali członkami renomowanej orkiestry i chóru „Ospedale” czyli „Szpital”. Ta dość dziwna nazwa nie przeszkodziła jednak ogromnej popularności, jaką z czasem zyskały i organizowane w sierocińcu przez maestro di violino [mistrza skrzypiec] koncerty. Antonio Vivaldi – bo o nim mowa – przez 30 lat komponował właśnie w Wenecji większość swoich głównych dzieł. Potem wyjechał, by zdobyć sławę. Wrócił po 10 latach. I opublikował *Il cimento dell'armonia e dell'inventione* [Szczyt harmonii i inwencji] ze słynnym zbiorem *Le quattro stagioni*, czyli koncertami skrzypcowymi *Cztery Pory Roku*.

Podobno inspiracją tego cyklu były anonimowe sonety opowiadające o cudach natury (istnieje hipoteza, że to sam Vivaldi był ich autorem). To najpopularniejszy utwór wszechczasów. Jest nawet używany jako melodyjka w telefonach komórkowych. Można go słuchać, czekając na połączenie z jakąś instytucją lub serwisem. Tego oczywiście nikomu nie polecam, bo często są to „komputerowe interpretacje”, ale np. jeden z programów Polskiego Radia ma stałą audycję zatytułowaną „Cztery pory roku” i jej sygnałem dźwiękowym są koncerty skrzypcowe Vivaldiego. Kompozycja stanowiła przełom nie tylko w rozumieniu nowego sposobu opracowania treści pozamuzycznej, czyli w tym wypadku sposobu naśladowania odgłosów natury. Vivaldi był

również wirtuozem skrzypiec, więc w kontekście techniki wykonawczej wymagał bardzo dużo. Naśladownictwo natury plus wirtuozeria stanowią świetny materiał wyjściowy dla kompozytora. Mamy więc tutaj nie tylko „śładkie pieśni ptaków” czy odgłosy podczas gwałtownej burzy letniej, ale również opis „pejzażu emocjonalnego” – kiedy muzyka zastyga, jak natura przed burzą albo każdy z nas przed trudnym zadaniem. Pochwała życia wiejskiego, radość, bogactwo natury, żniwa, polowania, burze i letnie nawałnice – za każdym razem zachwycają bogactwem i niegasnącą świeżością.

Wróćmy do Vivaldiego. Światowy kompozytor (proszę pamiętać, że 300 lat temu świat dla sztuki oznaczał Europę), światowe wykonania, ale i brak zrozumienia, poważania w kręgach konserwatywnych muzyków swoich czasów. Jest inny. Podejrzewany o długoletni romans z piękną śpiewaczką duchowny to z jednej strony twórca kontrowersyjnej opery *Arsilda, regina di Ponto* – poświęconej miłości kobiety do kobiety, a z drugiej ogromnej ilości muzyki religijnej. Przez całe muzyczne życie skomponował blisko 900 dzieł. Umiera w zapomnieniu. Na wiele lat jego sztuka odchodzi wraz z nim. Może dlatego, że większość jego współczesnych bardziej ceniła go jako skrzypka niż jako kompozytora? Dopiero w latach dwudziestych XX wieku nazwisko kompozytora zostało ponownie odkryte. W jaki sposób?

Kiedy we Włoszech komponował Vivaldi, w Niemczech muzykę tworzyli wielki Jan Sebastian Bach oraz Georg Philipp Telemann i Georg Friedrich Haendel. Choć w tamtych czasach Jan Sebastian nie był uważany za najlepszego kompozytora, to właśnie on – siedem lat młodszy od



Antonio Vivaldi (z lewej) i Georg Philipp Telemann

Vivaldiego – był wielkim fanem muzyki swojego włoskiego kolegi po fachu. Doceniał jego twórczość, ale też przepisywał, studiował i przerabiał wiele ze smyczkowych i dętych koncertów Vivaldiego. To była bardzo powszechna praktyka w czasach baroku. Nie było komputerów, „wujka Google”, programów do sprawdzania plagiatu, praw autorskich. To był raczej rodzaj inspiracji i rywalizacji, a także operatywności w świecie, w którym dostęp do wiedzy był znacznie ograniczony. Co jeszcze ważniejsze – to dzięki transkrypcjom Bacha i jego rosnącej popularności natrafiono na oryginały i twórczość Vivaldiego. Dzięki dorobkowi Bacha (nota bene też zapomnianego i odkrytego ponownie przez Felixa Mendelssohna) ujrano Vivaldiego na nowo i doceniono jako jednego z czołowych światowych kompozytorów i mistrzów klasyki. Ciekawe, jakby teraz panowie kompozytorzy sprzed 300 lat spojrzeli na popularność swojej muzyki. Dzisiaj niemal wszystkie stacje radiowe i programy telewizji omawiającej kulturę emitują ich muzykę nieprzerwanie. Wystarczy dotknąć pa-

nelu jakiegokolwiek urządzenia do odtwarzania muzyki i już jest! Jan Sebastian albo Antonio, Georg Friedrich czy Georg Philipp.

Muzyka w tamtych odległych czasach nie była tak dostępna jak dzisiaj. Oceniana przez małą grupę popleczników dworskich lub kościelnych, często popadała w zapomnienie. Jej przetrwanie było zależne też od szczęścia, mody, finansów, znajomości, zmysłu biznesowego, a nie tylko talentu. Prym wiodł w tamtych czasach Telemann, którego uważano wówczas za najgenialniejszego kompozytora. Lepszego od samego Jana Sebastiana. Z pewnością również dlatego, że był w przeciwieństwie do Bacha po prostu miłym człowiekiem. Jeśli miałabym Państwu polecić muzykę do słuchania na lato – tak po prostu, żeby ją zrozumieć i poznać, to Bach jest bardzo głęboki transcendentny i smutny, czasem nawet pełen bólu, dobrze się go rozumie będąc właśnie w takim nastroju. Vivaldi zachwyca się przyrodą i każdemu słuchaczowi uda się w jego muzyce ją odnaleźć. Na przykład koncert fletowy *Szczygieł*



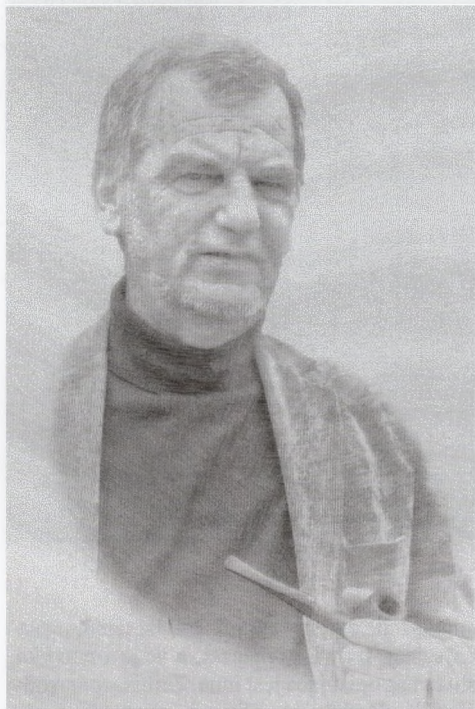
Jan Miense Molenaer *Portret rodziny*, ok. 1635 r

to po prostu muzyczny opis świergotu ptaka i przepięknego krajobrazu. Telemann z kolei to radość życia. Też tego codziennego. Skomponował między innymi zbiór *Tafelmusik* [niem. dosł. Muzyka stołowa], czyli muzykę graną na ucztach i bankietach. Oczywiście dworskich. Haendel i jego *Muzyka na wodzie* napisana dla króla i wykonana na wodzie – to z kolei eksplozja radości człowieka spełnionego. Jest to mój osobisty i bardzo uproszczony klucz, ale zachęcam do szukania i próbowania konstatowania tego niezwykłego muzycznego, melodyjnego świata barokowego.

Czy dzisiaj wielcy kompozytorzy żyją tak samo? Czy znamy tylko tych, którzy odnoszą sukces medialny? Czy ich muzyka zostanie zapomniana i odnaleziona na dyskach komputerów za 300 lat? Czy mają te same inspiracje? Z pewnością muzyka współczesna opisuje współczesny świat.

Ponieważ nie żyjemy tak jak 300 lat temu, piszemy inaczej, mówimy inaczej, a więc i muzyka, i sztuka nas opisująca jest inna. Zamiast przyrody naśladuje dźwięki cywilizacji, zamawiana jest nie przez królewski dwór, ale np. przez wytwórnie filmowe. Też bywa rozumiana tylko w wąskich kręgach. Jest bogatsza o wiele gatunków. Ale jest. A o tym jaka jest – w następnym odcinku.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

ADAM PODSIADŁY

Śremianin z urodzenia. Absolwent LO w Śremie. Ukończył studia historyczne na UAM w Poznaniu. Był nauczycielem, wice dyrektorem Zespołu Szkół Zawodowych im. St. Chudoby w Śremie, dyrektorem Muzeum Śremskiego. Redagował miesięcznik „Głos Śremski”. Dziennikarz i redaktor, szef oddziału wojewódzkiego „Gazety Poznańskiej” w Lesznie. Wykładowca w WSH w Lesznie. Od wielu lat zajmuje się badaniami dziejów Śremu i biografistyką, ich rezultaty opisał w licznych publikacjach. Współredaktor dwóch tomów Słownika biograficznego Śremu. W „Gazecie Śremskiej” zamieszcza artykuły w cyklu „Zapiski historyczne”.

1 Kim jestem...

Humanistą, racjonalistą i badaczem śladów historycznej przeszłości.

2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Zawodowa i społeczna aktywność, spory dorobek zawarty m.in. w publikacjach o historii Śremu i Wielkopolski.

3 W czym jestem dobry...

W czerpaniu z wiedzy, którą posiadam.

4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Zważywszy na swoją metrykę, jestem w takim momencie życia, że pożądanym osiągnięciem będzie zachowanie dobrego zdrowia i pogody ducha.

5 Co chcę w sobie zmienić...

Na wielkie zmiany już jest za późno, ale gdyby się jakimś cudem udało, to z pewnością ociosanie na lepsze niektórych cech charakteru.

6 Co daje mi szczęście...

Chwila spokoju z dobrą lekturą.

7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Przyjście na świat potomstwa.

8 U przyjaciół najbardziej cenię...

Mądrość, szczerość i otwartość.

9 Bohaterstwo to dla mnie...

W czasie wojny, czyn wielkiej odwagi na polu bitwy, w czasie pokoju np. uratowanie życia drugiemu człowiekowi z narażeniem własnego życia.

Epoka, w której chciałbym żyć...

W XIX wieku, w Wielkim Księstwie Poznańskim.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Gdybym nie mógł czytać książek.

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Domowa biblioteka z zasobnym archiwum zbiorów regionalnych.

Moja największa wada...

Jestem na bakier z zegarkiem i kalendarzem, więc bywa, że nie zawsze dotrzymuję terminów. No i palenie fajki, ale teraz nabijam cybuch tytoniem do połowy i tylko dwa razy dziennie.

Główna cecha charakteru...

Stałość w poglądach. Żona zaś powiada, że jestem niepoprawny uparciuch.

Moje motto życiowe...

Żyć aktywnie i być społecznie użytecznym.

Ulubiony dźwięk...

Muzyczna bluesowa fraza, szczebiot ptaszków.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Głos telefonu. Hałas wiertarki.

Nie mógłbym żyć bez...

Wolności i tolerancji, współpracy z innymi ludźmi.

Co wzbudza we mnie lęk...

Ewentualny dotyk niedołężności i blokady intelektualnej.

Moje ukryte marzenie...

Na chwilę powrócić do lat młodości.

Dar natury, który chciałbym posiadać...

Talent syna, świetnego tancerza i smykałkę do języków obcych.

Zawsze śmiesz mnie...

Ciemnota, bezgraniczna głupota i małostkowość.

Słowo, którego nadużywam...

Co ty powiesz?...

Zdanie o mnie, które zapamiętałem...

To z czasów licealnych, prawdziwe w stu procentach: „Ty, Podsiadły, jesteś niedościgłym wzorem matematycznego, dubeltowego analfabety”. I tak zostało!

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najłepiej...

Carpe diem.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Gdyby nie tolerowała moich zainteresowań.

Wolność to dla mnie...

Tolerancja dla różnych postaw życiowych, swoboda wyrażania myśli i poglądów.

Kim chciałbym być, gdybym nie był tym, kim jestem...

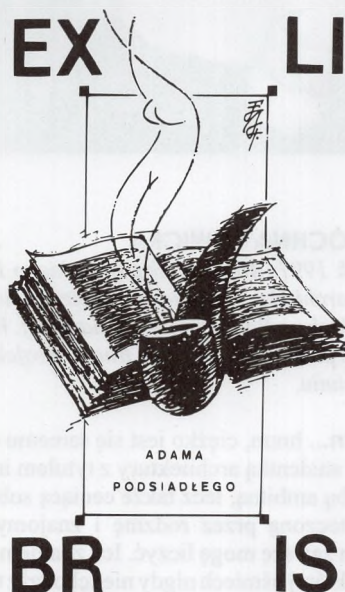
Herodotem – „ojcem historii” (sic!).

Obecny stan mojego umysłu...

Jeszcze, Bogu dzięki, w górnych granicach stanów średnich.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Tym, który coś dobrego po sobie pozostawił.



NASZTALENT : Dobrochna Łowicka



DOBROCHNA ŁOWICKA

Rocznik 1997. Absolwentka śremskiego LO. Inżynier architekt. Obecnie w trakcie studiów magisterskich na Politechnice Poznańskiej. Właśnie podjęła pierwszą pracę – w Biurze Projektowym w Poznaniu.

Jestem... hmm, ciężko jest się samemu opisać. Jestem studentką architektury z tytułem inżyniera, osobą ambitną, lecz także ceniącą sobie spokój. Otoczoną przez rodzinę i znajomych, na których zawsze mogę liczyć. Ich zdaniem jestem osobą, której uśmiech nigdy nie schodzi z twarzy.

Chciałabym... móc robić w życiu to co lubię, odnaleźć życiową ścieżkę mieć poczucie, że znajduje się we właściwym miejscu i czuć się szczęśliwą. Aktualnie kończę studia, jest wiele niepewności, ale staram się zachowywać pozytywne myślenie.

Myślę o... obecnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Jeszcze rok temu nikt nie uwierzyłby w to co teraz dzieje się na świecie.





Inspirują mnie... podczas tworzenia grafik, akwareli, szkiców – natura i osoby wokół mnie, w projektowaniu architektonicznym – docelowe miejsce projektu, jego historia, Genius loci miejsca i jego mieszkańcy.

Potrafię... Jestem raczej osobą skromną, więc na to pytanie ciężko jest mi samej odpowiedzieć... Potrafię malować, rysować, być kreatywna nawet po całym dniu na uczelni, praktykach, tworzyć rzeczy ładne i dające innym uśmiech.

Lubię... podróżować, malować akwarele, praktykować jogę, tańczyć, jeździć rowerem w słoneczny dzień, rozmawiać z przyjaciółmi, być potrzebną, rozwijać się, jeść bezglutenowe pyszności mojej mamy, długie rozmowy podczas

jazdy samochodem z tatą i wylegiwanie się w wannie (choć wiem, że to mało ekologiczne, dlatego nie robię tego codziennie) i wiele, wiele innych rzeczy... Lubię swoje życie.

Muszę... aktualnie uczyć się do egzaminów, oddać projekty, a z długotrwałych postanowień – muszę w końcu nauczyć się wypoczywać ha, ha.

Żałuję... Staram się nie żałować, ale nieraz żałuję tego, że za dużo się wszystkim przejmuję.

Boję się... Może nie od razu boję, raczej obawiam się tego, w jakim kierunku zmierza świat i jak będzie wyglądała moja przyszłość.

Joanna CHMIELEWSKA

Trylogia Apu

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Jak to się mawia... nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Czas kwarantanny był czasem dla mnie niezwykle obfitym w filmowe seanse. W końcu miałam czas, żeby obejrzeć filmy gdzieś z dna mojej wciąż rozciąglej listy. Szczególnie te z wielu względów wymagające tak jak na przykład prawie siedmiogodzinne Szatańskie tango Bella Tarr albo sześciogodzinną trylogię Apu Satyajita Raya.

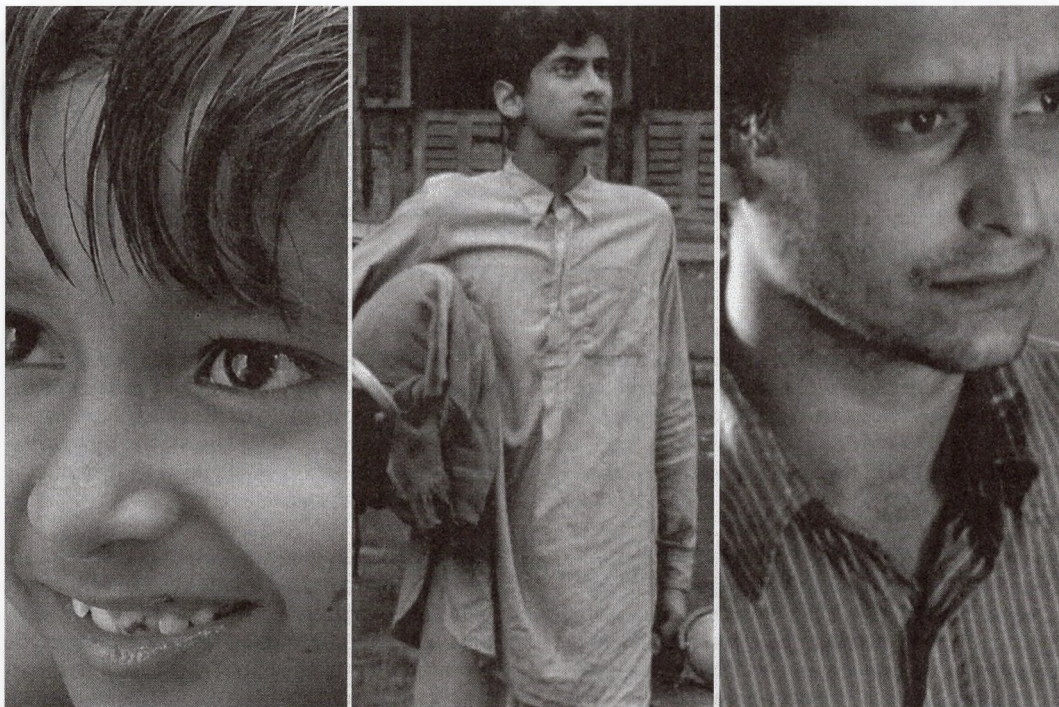
Kino indyjskie kojarzy się przede wszystkim z Bolywood – melodramatem muzycznym, przeplechem i kiczem na szczęście okazuje się, że w kinematografii indyjskiej jest wiele perełek, a taką niewątpliwie są filmy Satyajita Raya, szczególnie wspomniana trylogia, o której chcę właśnie napisać.

Debiut wybitnego indyjskiego reżysera, Satyajita Raya powstał na podstawie głośnej bengalskiej powieści Bibhutibhu-shana Banerji z 1929. Trylogia zaczyna się od *Drogi do miasta* nakręconej między 1951 a 1954 rokiem. Wtedy też poznajemy w wieku 5 lat naszego bohatera – Apu, psotnego chłopca z wielkimi okrągłymi oczami. Apu mieszka w bengalskiej wiosce wraz z rodzicami, starszą siostrą i bardzo starą już ciotką. W momencie powstania filmu indyjski przemysł filmowy zdominowany był przez melodramaty Bollywood, tak że debiut filmu Raya z 1955 był iście rewolucyjny. Po raz pierwszy bowiem powstał film skupiający się na zwykłych, dotkniętych biedą wieśniakach. Apu i jego rodzina walczą o przetrwanie z pieniędzy zarobionych przez wędrownego ojca kapłana, podczas gdy chłopiec cieszy się idyllicznymi chwilami na łonie natury. To kameralna, prosta opowieść z piękną muzyką Raviego Shankara, notabene zupełnie wtedy nieznanego. Reżyser będący pod

wpływem włoskiego neorealizmu, zrezygnował z pracy w studio, zaangażował przede wszystkim nieprofesjonalnych aktorów, dzięki czemu udało mu się stworzyć niezwykle autentyczny świat, wciągający wrażliwego widza. W *Drodze do miasta* doskonale udało mu się uchwycić atmosferę życia w bengalskiej wiosce, wierzenia i obyczaje jej mieszkańców, liczne wioskowe rytuały, tradycyjne przedstawienie teatralne.

Rok po triumfie *Drogi do miasta* na festiwalu filmowym w Cannes ukazał się drugi rozdział trylogii pod tytułem *Nieugięty*. Druga część zaskakuje swoją niezwykle rozległą perspektywą i kontrastami między życiem wiejskim i miejskim. *Nieugięty* podejmuje historię w momencie zakończenia pierwszego filmu. Bohater (teraz już 10-latek) wraz ze swoją rodziną przenieśli się ze wsi do tętniącego życiem świętego miasta Varanasi. Apu rozwija się, z otwartego na świat dziecka staje się łaknącym wiedzy intelektualnej nastolatkiem, który w końcu podejmuje naukę w Kalkucie. Jesteśmy świadkami jego edukacji, również moralnej, a także komplikującej się relacji bohatera z matką. Ten delikatnie ekspresyjny, często poruszający film, który zgarnął trzy główne nagrody na festiwalu w Wenecji, z najcenniejszym Złotym Lwem na czele, nie tylko rozszerza, ale także duchowo pogłębia opowieść o Apu.

W ostatniej części trylogii, *Świat Apu*, reżyser skoncentrował się na sferze emocjonalnej i uczuciowej swego bohatera, kreśląc przy okazji szeroką panoramę społeczną i kulturową Indii połowy ubiegłego wieku. Apu, młodziwiec, początkujący pisarz, nauczyciel, który gdziekolwiek tylko może, pracuje nad swoją powieścią o chłopcu ze wsi, który podróżuje do dużego miasta. To piękny film stanowiący kwintesencję oryginalnej po-



etyki Raya. Muszę się przyznać, że zaczęłam właśnie od tej części... Obejrzałam trylogię od końca! I uważam, że to nie był wcale zły pomysł. Szczerze mówiąc, te streszczenia ledwo odzwierciedlają piękno i tajemnicę tych filmów. Apu odgrywa czterech różnych aktorów, w różnym wieku od około 5 do 29 lat, mających wspólną, nastrojową, marzycielską cechę. Apu nie jest bystry, twardy ani cyniczny, jest szczerym, naiwnym idealistą, motywowanym bardziej niejasnymi tęsknotami niż konkretnymi planami. Piszac o trylogii *Apu*, należy podkreślić znakomite, niezwykle czarno-białe kadry, za które odpowiedzialny był we wszystkich trzech filmach Subrata Mitra. Mitra fotografuje w niezwykle sposób codziennie piękno: leśne ścieżki, widoki rzek, zbierające się chmury monsunu, krople wody na powierzchni stawu. Albo te niezapomniane ujęcia z wnętrza kosza z kociętami czy sceny z pociągami – ta zrobiła na mnie ogromne wrażenie! Jest też przerażająca scena, gdy matka czuwa nad swoją rozgorączkowaną córką, podczas gdy

deszcz i wiatr obezwładniają dom, a my odczuwamy jej strach i pilność, gdy kamera kręci w kółko po małej, zagrożonej przestrzeni.

Te trzy części składają się na intymną, przepiękną kronikę dojrzewania, od narodzin do dorosłości poprzez pierwszą miłość, ojcostwo, kryzys duchowy... Wszystkie trzy filmy są jak tak zwane „slow food” niezwykle satysfakcjonujące, to coś wyższego i głębszego niż konwencjonalna wielogodzinna fabuła. Filmy o Apu bowiem wspólnie stanowią głęboki akt kontemplacji, dramatyczne studium tego, co znaczy żyć – dorastać, tracić bliskich, dać się ponieść życiu.

Oglądałam trylogię *Apu* przez trzy noce (tak, zgadza się! Od końca), a ona wracała do moich myśli jeszcze w ciągu kilku dni. Pomimo czasu akcji, miejsca i kultury tak dalekiej od naszej, to jednak łączy się bezpośrednio i głęboko z naszymi ludzkimi uczuciami. Jest jak medytacja potwierdzająca, że kino może być WIELKIE.

Z tego też względu polecam bardzo!

Jolanta ANDRZEJEWSKA

Ewa z raju wyzwolona

Z górnej półki

Anette Hess udało się napisać powieść doskonałą. Co ciekawe, *W niemieckim domu* jest debiutem literackim hanowerskiej dziennikarki, pisującej do tej pory głównie scenariusze filmowe, często zresztą nagradzane, co pewnie świadczy o talentach pisarskim autorki.

Biorąc do ręki tę książkę spodziewałam się zwykłej obyczajowej historii dziejącej się w mieszczańskich klimatach, które zawsze bardzo mnie pociągają. A tymczasem otrzymałam świetną, wielowątkową powieść o niemieckim poczuciu winy czy raczej o próbie zamiecenia go pod dywan, ale także książkę o potrzebie miłości i wybaczenia. Pełną tajemnic i zwrotów akcji, jednocześnie będącą interesującą analizą powojennego niemieckiego społeczeństwa.

Są lata sześćdziesiąte. Ewa, porządna dziewczyna z zamożnej rodziny frankfurckich restauratorów, pomaga rodzicom obierać cebulę i obsługiwać gości, dorabiając sobie w niewielkiej agencji tłumaczeniach z języka polskiego, którego nauczyła się w szkole dla tłumaczy. Jednak jej głowę zajmują głównie niecierpliwe marzenia o ślubie z Jurgenem, młodym, zamożnym przedsiębiorcą. Pewnego popołudnia, gdy jej narzeczony próbuje właśnie po raz pierwszy smacznej gęsiny przyrządzonej po mistrzowsku przez przyszłego teścia, Ewa otrzymuje ze swojej agencji nagłe zlecenie, które na zawsze odmieni życie jej i jej bliskich.

Późnym wieczorem, w mrocznym, zadymionym papierosami pokoju frankfurckiego sądu, Ewa Bruhns uczestniczy w spotkaniu z polskim świadkiem zbrodni hitlerowskich w Auschwitz. I oto nieśmiała, wycofana dziewczyna z porząd-

negu domu zostaje nagle wrzucona w świat, którego istnienia do tej pory nawet nie podejrzewała. Kiedy mozolnie zaczyna tłumaczyć opowieść świadka, z trudem odnajduje słowa, by przetłumaczyć nie mieszczące się jej w głowie obrazy grozy i okrucieństwa.

Po powrocie do domu nie może przestać o tym myśleć. Nie rozumie targających nią uczuć, jest jednocześnie przerażona, ale i ciekawa. W końcu decyduje, że chce wziąć udział w procesie. Nic nie zmieni raz podjętej decyzji. Mimo dezaprobaty rodziców, stanowczego sprzeciwu narzeczonego, drobna, wrażliwa Ewa Bruhns zostaje tłumaczką w wielkim procesie zbrodniarzy hitlerowskich.

Dziewczyna chce poznać prawdę, choć jednocześnie boi się jej, a konfrontacja z faktami dużo ją kosztuje. Mogłaby odwrócić głowę, iść dalej, zając się na powrót swoimi drobnymi sprawami, przygotowaniami do ślubu z Jurgenem, jednak tego nie robi. Dlaczego? Bo na swoim dotychczasowym życiu, wypełnionym spokojną rutyną i miłością bliskich, dostrzega jakąś rysę. Nagle wszystko wydaje jej się podejrzaną, fałszywą. Ewa pragnie zrozumieć, kim są naprawdę rodzice, sąsiedzi, jowialni przyjaciele z restauracji? Do czego doprowadziło szaleństwo faszyzmu? Bezkompromisowość młodości sprawia, że Ewa nie chce tłumić uczuć. Wręcz przeciwnie – stara się stawić im czoła, co nie pozostanie bez wpływu na jej zdrowie psychiczne, a proces będzie kosztował ją całkowite przewartościowanie jej dotychczasowego życia.

Oskarżeni esesmani dzielą się na zepsutych do cna morderców i bezmyślnych, tępych pachol-

ków systemu. Wśród tych pierwszych, co ze zgrozą odkrywa Ewa podczas procesu, są inteligentni, cyniczni zbrodniarze, zaangażowani ideologicznie, postępujący świadomie i z przekonaniem. Ci drudzy zaś to bezwolne pionki systemu, który rozgrzesza ich za pomocą magicznej formuły – wykonujesz tylko rozkazy. Jednak jedni i drudzy, by przeżyć, musieli stworzyć w swoim chorym mózgu obraz ofiar kompletnie bezosobowy, odczłowieczony. Bo inaczej, jak mogliby, po unicestwieniu w bestialski sposób tylu istnień ludzkich, kontynuować spokojne życie bez koszmarów? Życie godnych obywateli, szanowanych mężów i ojców? Takich, jak właściciele restauracji Niemiecki Dom, rodzice Ewy? Nad zachowaniem tych ostatnich Ewa zastanawia się. Nie rozumie ich milczenia, uników, niechęci do rozmowy na temat procesu. Czy coś ukrywają? Czy czytelnik, podążając za bezkompromisową determinacją Ewy dotrze do ich mrocznych sekretów?

Prawdopodobnie powojenna postawa większości Niemców jest po ludzku zrozumiała. Jeśli chcesz kontynuować normalne życie, musisz zostawić za sobą wojnę wraz ze wszystkimi jej okropnościami. Zamknąć drzwi do strasznej przeszłości i wyrzucić klucz. Zapomnieć. To nie była twoja wina, zmuszono cię do tego. Teraz żyjesz dalej i dajesz swoim dzieciom, co najlepsze. Jednak, uważa Ewa Bruhns, rozliczenie jest potrzebne. Dopiero przyznanie do winy gwarantuje rozgrzeszenie...

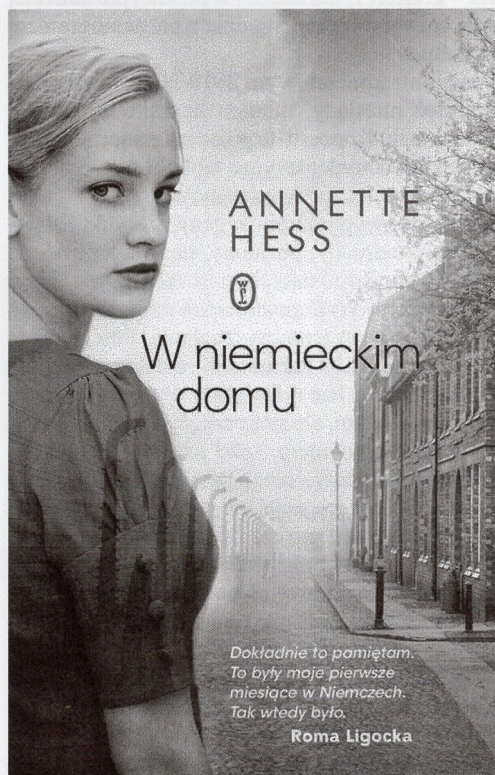
Pozornie odrębnym, niemniej pasjonującym wątkiem powieści, jest historia starszej siostry Ewy, Annegret. Ta młoda kobieta, z przerażającym socjopatycznym skrzywieniem osobowości, jest przez autorkę pokazana jako klasyczna ofiara wojny finalnie zasługująca na wybaczenie. Z kolei Jurgen, narzeczony Ewy, to przedstawiciel tej części społeczeństwa niemieckiego, który uważa, że rozliczenie wojennych zbrodni i sprawiedliwa kara są może i potrzebne, ale niech dzieją się gdzieś indziej, poza jego spokojnym domem i rodziną. Jak się okaże, narzeczony nie bez kozery nie życzy sobie rozdrapywania ran. I jego sprokokuje uparta i dzielna Ewa, do rachunku sumienia.

W niemieckim domu to książka wielowarstwowa. Autorka, jak przystało na nowoczesną kobietę, poświęca też sporo miejsca przebudzeniu Ewy Bruhns, jej transgresji z zahukanej, podporządkowanej dziewczyny, w niezależną młodą kobietę, która ma odwagę sprzeciwić się konserwatywnemu narzeczonemu, mieszczańskiej rodzinie i społeczności.

U Anette Hess znalazłam zatem wszystko, co lubię – ludzi, z ich realnymi problemami, osadzonymi w kontekście historycznym, fascynujące sekrety i wiarygodną przemianę bohaterki. A także narrację, która porywa od pierwszej strony, w świetnym tłumaczeniu Barbary Niedźwieckiej.

Słowem – znalazłam powieść doskonałą.

Anette Hess *W niemieckim domu*
Wydawnictwo Literackie 2018



Barbara SIWIŃSKA

Recepta seniora

*Krzyże w życiu pełnią podobną rolę
jak krzyżyki w muzyce: podwyższają*
Ludwig van Beethoven

Pandemia nieoczekiwanie zaburzyła spokojny rytm mojego życia. Odebrała to, co cenię najbardziej, czyli wolność.

A było tak, że prócz codziennych przyziemnych zajęć miałam regularne przyjemności. Środa – brydz u licealnych przyjaciół w Poznaniu. Piątek – koncert symfoniczny w pięknej poznańskiej auli uniwersyteckiej zgodnie z harmonogramem karnetu.

W sezonie koncertowym 2019/2020, czyli przez dziesięć miesięcy, miałam uczestniczyć w 28 koncertach. Koncerty te polecam znajomym jako doskonałe antydepresyjne tabletki o przedłużonym działaniu... proszę spróbować!

Mój ustrój wyposażony w geny, instynkt zachowawczy, odruchy, hormony, doświadczenie, na wieść o pandemii natychmiast zareagował: bierz się do pracy! Wielopoziomowe mieszkanie stało się doskonałym terenem działania. Przeglądając sumiennie każdy zakamarek, delektowałam się „odkryciami”. Nie tylko szafy wypełnione damskimi ciuzzkami, ale stosy zdjęć, wycinki z gazet, zawartość komputera, setki książek, stare listy, różne dokumenty, niezliczone pamiątki, moje skarby. Ich segregacja, penetracja, przerywana dla odpoczynku grą na pianinie, to był świat, który na nowo odkrywałam. W międzyczasie udzielałam zawodowych porad, załatwiałam telefonicznie kilka konsultacji, jednym słowem czułam, że jestem potrzebna.

Wieczorem odświętnie ubrana siadałam przed komputerem i „klikałam” metopera.org. W ten sposób przenosiłam się w świat najpiękniejszej sztuki, czyli muzyki. Byłam kilkakrotnie w No-

wym Yorku, ale nie w Operze Metropolitan! Teraz jestem! Słyszę i widzę nawet lepiej bowiem patrzę okiem kamery! A jest na co! Znakomite głosy, aktorstwo, chór, orkiestra, scenografia, wszystko na najwyższym poziomie. I ta wspa- niale reagująca publiczność! Któregoś dnia pokazano poszczególne etapy budowy nowego gmachu The Met zlokalizowanego od 1966 roku w Centrum Lincolna dla Sztuk Sceniczych obok Filharmonii, Opery Nowego Yorku i Szkoły Muzycznej Juilliarda.

Miałam okazję zobaczyć opery, których nigdy nie widziałam, szczególnie kilka oper Gaetano Donizettiego dotyczących okresu Tudorów w angielskiej historii, np. *Anna Bolena*, *Maria Stuart*, *Roberto Devereux*. W tej ostatniej to Mariusz Kwiecień wcielił się w rolę hrabiego Nottingham. Dyrygował Maurizio Bennini.

Mamy wielu polskich śpiewaków operowych znanych w świecie, ale moje sympatie to Aleksandra Kurzak, Piotr Beczała, Mariusz Kwiecień. Obaj tenorzy prezentowali się znakomicie w *Poławiaczach pereł* Georgesa Bizeta, a samego Piotra Beczałę słuchałam w operze Giuseppe Verdiego *Luisa Miller*, w której śpiewał partię Rodolfo, a w rolę ojca Luisy wcielił się Plácido Domingo.

Pierwsza czarnoskóra legendarna diwa Metropolitan, Leontyne Price, niedościgniona interpretatorka oper Giuseppe Verdiego i Giacomo Pucciniego, laureatka 19 statuetek Grammy, została nagrodzona kilkuminutową owacją po arii Aidy w trzecim akcie. Stała nieruchomo, a jej oczy stopniowo wypełniały się łzami wzruszenia. Moje też.

W tytułową rolę Nabucco wcielił się Plácido Domingo, a maestro James Levine główny dyrygent Metropolitan po burzliwych oklaskach tradycyj-



Metropolitan Opera w Nowym Jorku

nie bisował *Va pensiero*. To samo, które w czasie pogrzebu kompozytorowi Giuseppe Verdiemu śpiewały niezliczone tłumy wielbicieli.

W ostatnią niedzielę kwietnia kilka godzin przeżycia szczególnego: gala aktorów Met! Gościłam w wielu domach rozsianych po całym świecie. Fragmenty prywatnych mieszkań, codzienne stroje, ciepły nastrój, zwykle przyjacielskie rozmowy oraz arie prezentowane przez każdego artystę.

A wśród nich Aleksandra Kurzak (z mężem rezydująca we Francji) oraz Piotr Beczała, który śpiewał z Żabnicy, gdzie obecnie mieszka. I tylko żal, że jak dotychczas tylko jedna opera polskiego kompozytora została zrealizowana przez Met: *Manru* Ignacego Jana Paderewskiego.

Pandemia uświadamia to, co wydaje się zwykłe. Naturalną potrzebę bezpośrednich międzyludzkich kontaktów: artystom do życia nieodzowny jest słuchacz, widz, nam lekarzom – pacjent...

Mój optymizm, chęć działania, różnorodne zainteresowania pozwalają przetrwać trudny czas

zniewolenia. Z utęsknieniem czekam na wolność i tylko pytam: który to już raz w życiu?

Recepta na dziś jest bardzo krótka: Działaj! Tylko wówczas będziesz mógł zawołać jak Kalaf w trzecim akcie opery *Turandot* Giacomo Pucciniego: *Vincero!* Taki też tytuł nosi wydana w tym roku płyta CD z 18 ariami wykonanymi przez Piotra Beczałę. Słynne *Nessun dorma* też jest! Kupiłam.

Śrem, 23 maja 2020 r.

Henryk RYKERT

Taniec śmierci. Drzeworyty Hansa Holbeina

Renesans to epoka, która w Europie wniosła nowatorskie rozwiązania w dziedzinie sztuki. Charakteryzuje ją niespotykane na przestrzeni dziejów bogactwo talentów. Malarze, rzeźbiarze, graficy pozostawili po sobie niezliczone ilości dzieł, które możemy podziwiać w muzeach, świątyniach, gmachach użyteczności publicznej, rezydencjach prywatnych, czy bibliotekach. Żadna epoka nie może konkurować pod tym względem z tym czasem. W twórczości artystów dominuje oczywiście tematyka religijna. Trudno się temu dziwić. Uzasadnienie znajdujemy między innymi w obowiązującej wówczas hierarchii

społecznej. Możemy się o tym przekonać analizując grafikę *Taniec śmierci* Hansa Holbeina. Autor przedstawia schemat obowiązujący w ówczesnym społeczeństwie. Pierwsze miejsce zajmuje papież. Następnie dostojnicy kościoła, których prezentację zamyka zakonnik. Po nim jest lekarz a dalej cesarz, król, książę itd.

Przedstawione ryciny są kopiami drzeworytów Hansa Holbeina, które ukazały się w zbiorze wydany przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe w 1985 r. pod tytułem *Taniec śmierci*. Wydanie opatrzył wstępem prof. Sergiusz Michalski, historyk sztuki, nauczyciel akademicki, obecnie pracownik Instytutu Historii Sztuki (Kunsthistorisches Institut) Uniwersytetu w Tübingen. Dla pełniejszego zobrazowania przedstawionych grafik przytaczam fragmenty tekstu autora. „W naszej wizji kultury późnego średniowiecza szczególną rolę odgrywa tematyka związana z ówczesnym poczuciem obecności śmierci. Sam motyw narodził się w wyniku dramatycznego wstrząsu, wywołanego epidemiami „czarnej śmierci” w połowie XIV wieku. Cykl 41 drzeworytów Hansa Holbeina młodszego zajmuje szczególne miejsce w jego twórczości, uchodząc za najwybitniejsze dzieło graficzne. Tworząc swe rysunki Holbein zmagał się z trudnościami, jakie przynosił z sobą zarówno obrany mały format rycin (6,5 x 5 cm), jak i narracyjność scen. Struktura cyklu składającego się z pojedynczych, autonomicznych scen osłabia jakby całościową wymowę hasła „Memento mori”. Śmierć, niekiedy przedstawiona w parze, czasami towarzyszy jej diabeł, uderza w symbole władzy, stanu czy profesji, wybierając najistotniejsze i najbardziej charakterystyczne. Gdy odbiera pieniądze bogaczowi, ów staje się – i metaforycznie (tak chciało ówczesne przysłowie), i do-

Hans Holbein (1497-1543)





Hans Holbein z cyklu *Taniec śmierci*: Adam i Ewa w Raju, Opat

słownie – martwym człowiekiem. Holbein utrwała zadziwiający szeroki rejestr ludzkich zachowań, ale i śmierć jest za każdym razem inna. Raz jest to agresywny, innym razem ironicznie wesołkowaty kościotrup, a nawet wprost błazen, to znowu chodzi cichy, nieodłączny cień człowieka. Śmierć do każdego człowieka przychodzi inaczej, niejako przystosowując się do jego warunków. W przedstawieniu papieża przywołał scenę całowania nóg papieża przez cesarza, kardynała biorącego jedną ręką pieniądze, a drugą dającego odpusty. Ukazuje księcia nie zwracającego – nawet w chwili śmierci – uwagi na prośbę biednej kobiety, sędziego przyjmującego łapówki czy nie zważającego na biednego rajcę. Szczególny charakter ma słynne, bodaj najbardziej popularne z całego cyklu, przedstawienie śmierci towarzyszącej biednemu oraczowi. Ukazany jest on z niewątpliwą sympatią, śmierć zaś, biorąca udział w oraniu, staje się jakby metaforą biologicznego charakteru chłopskiego bytowania”. Tyle autor.

Do zainteresowania się tym cyklem skłoniła mnie obecna sytuacja związana z pandemią, która ogarnęła prawie cały świat i dla większości mieszkańców globu jest czasem niezwykłym. Sięgając jednak w głąb historii dowiadujemy się, że na naszej planecie w różnych odstępach czasu pojawiały się epidemie, które dziesiątkowały mieszkańców. Drzeworyty Holbeina powstały na początku XVI wieku, a więc po kataklizmach, które przeżyła Europa w XV wieku. Temat związany ze śmiercią stał się wówczas bardzo „modny” w twórczości wielu artystów.

Praca nad tym cyklem pozwoliła mi zbliżyć się do zjawiska rytownictwa, które od XV do XVII wieku miało swoje apogeum w Europie. Aktualnie opracowuję ekspozycję wystawy poświęcony Albrechtowi Durerowi – najwybitniejszemu artyście w tym czasie, w zakresie drzeworytnictwa, miedziorytnictwa i akwaforty. Drzeworyty Hansa Holbeina z cyklu *Taniec śmierci* można oglądać nie wychodząc z domu na stronie internetowej Muzeum Śremskiego od końca czerwca 2020 r.

Bartosz KLIMCZUK

Problem z lotem, policja w hostelu i zatrzymane paszporty. Kolumbia!

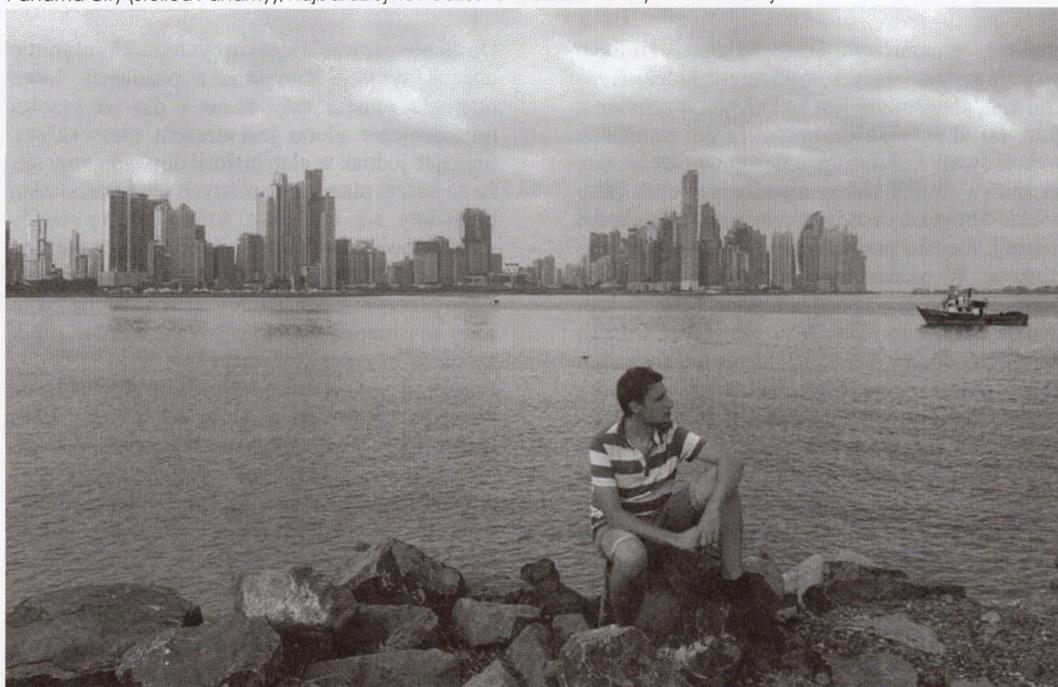


B&B przez Ameryki. Część 6

Cóż, nasze pierwsze chwile w Ameryce Południowej nie należały do najszcześniejszych. Problemy zaczęły się jednak jeszcze zanim postawiliśmy nasze nogi na ziemi kolumbijskiej. Aby tę historię uczynić pełniejszą, cofnijmy się na parę chwil jeszcze do Panamy... Trzeba przyznać, że wjazd do tego kraju był wyjątkowo przyjemny i bezproblemowy. Wiedzieliśmy, że wcześniej celnicy będą od nas oczekiwali konkretnej daty wyjazdu z Panamy, z okazaniem biletu lotniczego lub tego na statek. Byliśmy na to absolut-

nie przygotowani. Nie sądziliśmy jednak, że nie będą nas chcieli z tego kraju wypuścić. Ze stolicy Panamy kupiliśmy wcześniej bilet lotniczy do Kartageny w Kolumbii. Bez większych problemów dotarliśmy Uberem na bardzo małe lotnisko (nie było nawet wyswietlaczy), skąd za parę godzin mieliśmy odlecieć. Kolejka zaczęła się ustawiać do check-inu, wszystko wyglądało na bardzo klasyczną odprawę. Gdy przyszła nasza kolej, pani za biurkiem zaczęła od nas oczekiwać poświadczenia (najlepiej biletu lotniczego), kiedy,

Panama City (stolica Panamy), najbardziej nowoczesne miasto w Ameryce Centralnej



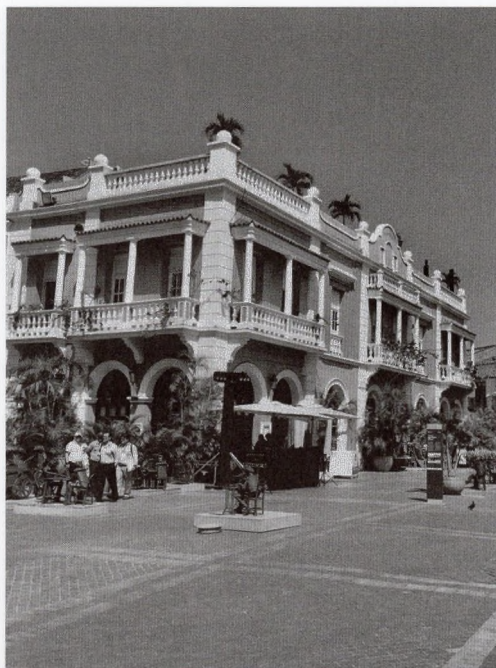


Z lewej: starówka w Kartagenie. Z prawej: na północy Kolumbii można spróbować mrówek z „wielkim tyłkiem”

jak i gdzie planujemy opuścić Kolumbię. Bardzo nas to zaskoczyło, bo co interesuje panią z check-inu z Panamy, kiedy i jak chcemy opuścić Kolumbię. Niestety, nic nie wskóraliśmy, przekonując panią (zgodnie z prawdą zresztą), że dalej będziemy przekraczać granice lądowe, najpewniej autobusami i nie ma możliwości zakupu biletu z takim wyprzedzeniem. Sytuacja zaczęła stawać się coraz bardziej nerwowa, ponieważ minuty mijały i nieubłaganie zbliżała się godzina naszego odlotu. Nie byliśmy jedynymi w tej sytuacji – większość białych turystów również była zaskoczona koniecznością okazania biletu wyjazdowego z Kolumbii. W tempie ekspresowym zaczęli wszyscy Ci nieszczęśnicy kupować za grube dolary fikcyjne bilety z Kolumbii, aby móc wydostać się z Panamy. Myśmy byli początkowo bardzo uparci – nie będziemy przecież bez sensu wydawać tyle pieniędzy! Gdy jednak praktycznie cała nasza kolejka przeszła już do kontroli osobistej, poddaliśmy się i próbowaliśmy kupić bilet lotniczy z Bogoty, stolicy Kolumbii, do Ekwadoru. Pech chciał, że strona internetowa ciągle się

zawieszała. W pewnym momencie byliśmy już prawie pewni, że utkniemy w Panamie na dłużej. Zostały nam dosłownie minuty do odlotu, gdy jeden z pracowników linii lotniczych wziął nasze bagaże (te które miały iść do luku), a inny powiedział, że mamy skierować się do kontroli osobistej. Dawno już nie czuliśmy aż takiej ulgi... Gdy już usiedliśmy w samolocie i nikt od nas niczego więcej nie wymagał, byliśmy bardziej niż uradowani. Po paru godzinach dowiedzieliśmy się, że niektóre linie lotnicze mogą faktycznie wymagać od pasażerów biletu powrotnego z kraju, do którego właśnie się udają, ale do teraz uważamy te regulacje za kompletnie bezsensowne.

To nie był jednak koniec naszych nerwów. Gdy dolecieliśmy do Kartageny postanowiliśmy, że do hostelu dotrzemy taksówką. Kierowca musiał nieźle się nagłowić, zanim odszukał wskazany przez nas adres. Mimo że, gdy tam dojechaliśmy, były już raczej późne godziny wieczorne, ulica tętniła życiem. Dzielnica nie była zbyt bogata, ani również jak się zdaje zbyt bezpieczna – jeden z pracowników hostelu doradził nam, abyśmy,



Starówka w Kartagenie

wychodząc z przybytku, NIGDY nie skrećali w prawo. Nie dopytywaliśmy, co by się mogło stać, gdybyśmy zdecydowali się jednak na spacer w drugą stronę, co nie zmienia faktu, że przez cały nasz pobyt w nadmorskiej Kartagenie zawsze kierowaliśmy się według instrukcji.

Tego dnia byliśmy już tak zmęczeni, że tylko wyskoczyliśmy coś zjeść na miasto i od razu poszliśmy spać. Nie dane było nam niestety dobrze się wypaść. Z samego rana zbudziło nas energiczne pukanie do drzwi pokoju. Obsługa poinformowała nas, że do hostelu przyszła policja turystyczna i żądają od nas paszportów. W pierwszej chwili byliśmy przekonani, że to jakaś forma reperkusji dnia poprzedniego. W końcu dostaliśmy się do Kolumbii bez okazywania biletu wyjazdowego z tego kraju. Gdy ubraliśmy się i zaszliśmy do recepcji, sytuacja rzeczywiście wyglądała poważnie. Kilku mundurowych przeglądało jakieś dokumenty, co chwila żądając od obsługi coraz to nowych papierów. Do nas podszedł jeden z policjantów mówiący po angielsku, który poprosił o paszporty oraz o streszczenie naszej podróży. Zdaje się, że chyba zauważył nasze poddenerwo-

wanie, bo w pewnym momencie uśmiechnął się i powiedział, że nie mamy się czego obawiać. Po paru chwilach puścił nas wolno, zatrzymując jednak na czas kontroli nasze paszporty. Już wtedy nam się to nie spodobało, ale cóż – z mundurowym nie chcieliśmy się kłócić. Naprawdę nieciekawie zrobiło się jednak wtedy, gdy wróciliśmy ze spaceru po mieście. Okazało się bowiem, że nasze dokumenty są przechowywane w hostelowym sejfie, a obsługa ani myśli, żeby nam je zwrócić. Oczywiście nie chcieliśmy tego tak zostawić i stanowczo, acz kulturalnie, prosiliśmy o zwrot paszportów. Zarządca obiektu odmawiał jednak, przekonując, że jutro policyjna kontrola wróci i lepiej, aby to oni mieli dokumenty na miejscu. Bardzo nam się to nie podobało, ale w zasadzie identycznie zostali potraktowani także inni goście, więc trochę się uspokoiiliśmy. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła, ale tym razem nie chcieliśmy tak tej sprawy pozostawić. Zażądaliśmy zwrotu paszportów i byliśmy nawet gotowi na to, aby wezwać policję. Obsługa hostelu bardzo niechętnie, ale oddała nam na szczęście dokumenty.

Uff! Wystarczyło nam niemiłych i nerwowych sytuacji jak na zaledwie dwa dni. Mimo wszystko staraliśmy się jednak odsunąć złe myśli na bok i nacieszyć Kartageną, która jest malowniczo położona nad Morzem Karaibskim. Wprawdzie plaże i woda nie są tutaj (i w całej Kolumbii zresztą) tak czyste jak w Ameryce Centralnej, ale samo miasto, a w szczególności jego starówka, robi niesamowite wrażenie. Ostatecznie stresujące chwile z „przełomu kontynentów” już do końca podróży w tym natężeniu się nie powtórzyły, a sama Kolumbia im dalej się w nią zagłębialiśmy, tym bardziej odślaniała nam coraz to ciekawsze miejsca.

Fot. Bartosz Klimczuk

Katarzyna GRZEGORCZYK

Na szlaku szkolnych reform

Okiem belfra

Szkoła nieustannie zmienia się, choć znajdzie się wielu komentatorów, którzy dowodzić będą jej skostnienia. Pamiętać trzeba, że nie da się zrobić rewolucji, która w ciągu jednej nocy zmieni szkołę w nowoczesną instytucję rozwoju kreatywności. W swej naturze szkoła zawsze będzie miała trochę tradycji, trochę statycznej przeszłości. Nie może ulegać modom i trendom, które bywają chwilowe i ulotne.

Niewątpliwie jednak szkoła cały czas przeobraża się. Kolejne ekipy ministerialne starają się wprowadzić coś nowego. Czasem posunięcia są drobne, czasem widoczne i istotne. Marzeniem każdego nauczyciela jest, by szkołę zmieniali praktycy, a nie teoretycy. Pracując każdego dnia z uczniami, widzimy mankamenty reformowanej podstawy programowej, niedostosowanie języka i narzędzi pracy do współczesnego młodego człowieka. Oczywiście, nie będziemy na lekcji mówić językiem ulicy, hybrydą polsko-angielską z elementami łaciny podwórkowej. Chcemy mówić i mówimy językiem literackim, polszczyzną, którą pragniemy chronić dla kolejnych pokoleń. Ale nie ukrywamy – kanon lektur nie przemawia do współczesnego młodego, a nawet już trochę starszego człowieka. Trudno mówić o wartościach i przesłaniu, gdy język stanowi barierę nie do pokonania. Nie apeluję tu o wyrugowanie z listy lektur wszystkiego, co powstało przed drugą połową XX wieku. Bardziej chodzi o środek ciężkości. Pokażmy przeszłość, ale mówmy też o wspaniałej literaturze współczesnej, której w tej chwili tak naprawdę w szkołach nie ma. Młodzi ludzie nie potrafią przebić się przez język, konotacje i nawiązania historyczne. Staram się każdego dnia przekładać tę wielką tradycję na ich możliwości percepcyjne. Tłumaczę „z polskiego na polski”, ale widzę zniechęcenie i zmęczenie.

Gdybym mogła im obiecać, że weźmiemy do ręki i coś z Ich świata, byłoby zapewne łatwiej. Marzę o tym, by móc poświęcić czas literaturze przełomu XX i XXI wieku w swobodnym wymiarze. By podejmować dyskusję nad tekstami kultury, które ich porwą. Chciałabym znaleźć czas w napiętym szkolnym grafiku, by regularnie zabierać młodzież do teatru i kina. Pragnę pokazać im świat kultury współczesnej i jego niesamowite tajemnice. Tymczasem gnamy z realizacją podstawy programowej, która stoi na straży odległej przeszłości. Najbardziej kreatywny nauczyciel musi przecież wywiązać się w pierwszej kolejności z realizacji treści programowych. A serce boli...

Dziś mówi się o rewolucyjnych zmianach w szkolnej rzeczywistości. Pandemia zmusiła nas do pracy zdalnej. Łączymy się z uczniami w wirtualnym świecie. Wykorzystujemy nowoczesne technologie. Przekazujemy wiedzę na tysiące sposobów. I tej rewolucji nic już nie zatrzyma. Nawet gdy wrócimy do szkoły, pozostanie nam wiele umiejętności, pomysłów i narzędzi, które dalej będą służyć. To dobry moment, by zająć się także fundamentami. Praca online to wyzwanie dla nauczycieli, dla uczniów i dla ich rodziców. Zmienia się pojmowanie szkoły. Rodzic musi zaangażować się dużo mocniej w edukację swych dzieci. Czy to dobrze? Myślę, że dzięki temu więzi między dziećmi i rodzicami zyskują nową płaszczyznę. Rodzic widzi swe dziecko w nowej sytuacji, w zupełnie innym świetle. Razem pokonują trudności, razem osiągają sukcesy.

Wszyscy marzymy o powrocie w szkolne mury. Tęsknimy za sobą i czasem spędzonym w sali lekcyjnej. Tego nie zastąpi nawet najnowocześniejszy komunikator. Trzymajmy kciuki za powrót do szkolnych ław!

ŚREM



Wieści z ratusza

ŚREM NAGRODZONY W KONKURSIE SMART CITY

Gmina Śrem została nagrodzona w Konkursie Smart City w kategorii „Smart City do 100 tys. mieszkańców 2019”.

Konkurs Smart City ma na celu popularyzację osobowości i przedsięwzięć, które w znaczący sposób przyczyniły się do promocji rozwiązań, służących budowie inteligentnych miast w Polsce oraz miast realizujących tę ideę. Wyróżnienia skierowane są zarówno do przedstawicieli sektora biznesowego, jak i administracji lokalnej, którzy poprzez realizowane projekty z wykorzystaniem innowacyjnych rozwiązań i strategii zarządzania, przyczyniają się do wzrostu konkurencyjności polskich miast, gospodarki i biznesu.

Śrem otrzymał nagrodę „Za skuteczną realizację koncepcji smart city jako gminy nowoczesnej, bezpiecznej i przyjaznej dla mieszkańców”.

ŚREMSKI ROWER MIEJSKI

Działa już Śremski Rower Miejski. W tym roku mieszkańcy gminy Śrem mają do dyspozycji 30 rowerów.

Rowerzy można pobrać i pozostawić w 7 strefach:

Stary Rynek (przy kościele Św. Ducha),

Al. Solidarności/ul. Żurawia,

ul. Komorowskiego,

deptak na Jezioranach (Chłapowskiego),

Plaża Miejska w Śremie,

ul. Kilińskiego (w pobliżu kościoła),

ul. Mickiewicza (przy Muzeum Śremskim).

Aby wypożyczyć rower należy zainstalować bezpłatną aplikację i zasilić swoje konto opłatą startową 10 zł. Pierwsze 30 minut korzystania z roweru jest bezpłatne, każda kolejna minuta to koszt 5 gr.



WSPIERAM LOKALNY BIZNES



...kupuję lokalne produkty

SENIORZE, NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ!

Po wyciszeniu na czas pandemii powróciły telefony z zaproszeniami na spotkania powiązane ze sprzedażą różnych artykułów o specjalnych właściwościach w wyjątkowych cenach. Również na terenie gminy Śrem w ostatnim czasie wzrosła liczba telefonów z zaproszeniami na takie spotkania. Zazwyczaj zaczyna się od tego, że ktoś dzwoni albo wrzuca do skrzynki pocztowej zaproszenie na darmowe badanie – sprawdzenie układu krążenia, poziomu cholesterolu albo cukru we krwi. Podczas takich spotkań często rzeczywiście ktoś bada, lecz przed podaniem wyników, organizatorzy prezentują swoje produkty. Reklamowane są różne gadżety: lampy do naświetlania, lecznicza pościel, suplementy diety, a także woda z drobkami srebra. Podobną formą naciągania osób starszych są tanie wyjazdy pielgrzymkowe, połączone z pokazem garnków albo porady prawne.

Często zdarza się, że w trakcie takich pokazów uczestnicy – często seniorzy – wprowadzani są w błąd, przez co decydują się na nieprzemyślane i niepotrzebny zakup.

Seniorzy, nie dajcie się oszukać! Nie reagujcie! Nie korzystajcie z tych spotkań!

W zamian zachęcamy do uczestnictwa w inicjatywach lokalnych klubów seniora np. w Klubie Senior+. Tu czekają życzliwa rozmowa, rzetelna informacja i ciekawe zajęcia. Klub Senior+, ul. Franciszkańska 2, Śrem, nr tel. 575 778 744

WYPOCZYWASZ W LESIE CZY NAD WARTĄ? NIE ŚMIEĆ! SZANUJ INNYCH!

Zielone tereny na obszarze gminy w wiosennych miesiącach stają się destynacją wycieczek rowerowych czy rodzinnych spacerów wielu mieszkańców. Spędzanie czasu na łonie przyrody to wypoczynek dla ciała i ducha. Cenne przyrodniczo obszary wokół Śremu objęto obszarem Natura 2000.

Niestety w związku z intensywnym użytkowaniem terenów zielonych: nad Wartą, w okolicznych lasach, nad jeziorami czy przy wałach obserwuje się spore ich zaśmiecanie.

Dlatego apelujemy: Jeżeli spędzasz czas z rodziną czy znajomymi na łonie przyrody, nie zaśmiecaj jej! Przynosząc ze sobą napoje czy przekąski, puste opakowania zabierz z powrotem. Naprawdę są lepsze i zajmują mniej miejsca!

Śmieci szkodzą roślinom i zwierzętom. Większość odpadów wyrzucanych w lasach rozkłada się wiele lat. A co za tym idzie? Destrukcja gleby, skażenie środowiska. Ponadto zwierzęta mogą się okaleczyć czy połknąć szkodliwe substancje, które powodują śmierć.

Ważnym aspektem korzystania z terenów zielonych jest poszanowanie własności prywatnej. Sielskie widoki z pasącymi się zwierzętami są popularnym motywem zdjęć ze spacerów. Ważne jest, by jednak nie podchodzić do zwierząt i ich ogrodzenia. Pasące się na łąkach zwierzęta to zwierzęta gospodarskie, nie pupile domowe,



WSPIERAM LOKALNY BIZNES



...korzystam z usług śremskich fachowców

które są nauczone do bezpośredniego kontaktu z człowiekiem i głaskania. Wolno biegające psy poszły zwierzęta – zarówno te gospodarskie, jak i leśne. Właściciele psów są zobowiązani do pilnowania swoich pupili. Psy nie mogą biegać po lasach bez smyczy. Las nie jest naturalnym miejscem zamieszkania psa i wzbudza strach u zwierząt zamieszkujących lasy. Brak nadzoru nad psem grozi mandatem.

Każdy chce spędzać swój wolny czas w czystym miejscu, dlatego szanujmy przyrodę i siebie nawzajem! Nie wyrzucaj śmieci – zabierz je ze sobą!

WSPIERAM LOKALNY BIZNES

„Wspieram lokalny biznes” to główne hasło nowej kampanii gminy Śrem, która ma na celu zachęcenie mieszkańców gminy Śrem do świadomego podejmowania decyzji o zakupach i usługach.

Podczas pandemii wiele podmiotów gospodarczych było zmuszonych do ograniczenia swojej działalności. W obliczu zagrożenia koronawirusem ludzie kupowali mniej dóbr konsumpcyjnych, które nie były niezbędne do spełniania podstawowych potrzeb życiowych. Dlatego zachęcamy do podejmowania świadomych decyzji i realizacji potrzeb u przedsiębiorców z obszaru gminy Śrem.

Kupując produkty wytwarzane w okolicy klient ma pewność, skąd pochodzi dany towar. Co więcej, takie działanie wspiera polską gospodarkę

i wpływa na kondycję lokalnych firm. A to z kolei przyczynia się nie tylko do zapewnienia miejsc pracy mieszkańcom gminy Śrem, ale również do poprawy warunków życia własnej rodziny czy sąsiadów.

Wspierajmy lokalny biznes!

Korzystajmy z usług śremskich fachowców – są świetni.

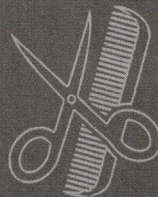
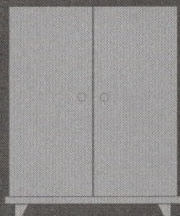
Zwiedzajmy okolice i zostawiamy pieniądze w lokalnych obiektach rekreacyjnych czy restauracjach.

Kupujmy lokalne produkty wyprodukowane przez miejscowe firmy i rolników.

Korzystajmy z usług śremskich firm i dbajmy o siebie nawzajem.



WSPIERAM LOKALNY BIZNES



...korzystam z usług śremskich firm



63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

Wakacje w MUZEUM Ś R E M S K I E



koncerty
wystawy
warsztaty



dla dzieci
dla dorosłych
dla seniorów



zastoń usta i nos
zdezynfekuj dłonie
zachowaj odstęp

Regulamin uczestnictwa w wydarzeniach kulturalnych organizowanych
w Muzeum Śremskim w trakcie trwania epidemii wirusa SARS-CoV-2
jest dostępny na www.muzeum.srem.pl i facebook.com/muzeumsremskie

Muza w MUZEUM ŚREM SKIE

26.06
g. 19.30

BARTAS SZYMONIAK
paARTyzant

03.07
g. 19.30

GRZEGORZ KUPCZYK akustycznie
DISCOPOGO

17.07
g. 19.30

TOMASZ BUDZYŃSKI akustycznie
SIOSTRA BRACI GRIMM

24.07
g. 19.00

BANDONEGRO
THE KARLINS

31.07
g. 18.30

KRAMBABULA
ANEKE GRA SÓW

Amfiteatr w ogrodzie Muzeum Śremskiego | wstęp wolny

ty relax

Wystawa w MUZEUM ŚREM SKIE

03.07
g. 19.00

SLOW GRAPHICS DAY

Initjatywa, którą stworzyli artyści wieku narodowci na platformie otwartego Atelier Pyszkowski - galerii Sztuki Nowoczesnej w Poznaniu. Wystawa w pawilonie Akwarium potrwa do 2.08.2020 roku.

05.07
g. 16.00

RETROSPEKCJE

Wystawa malarstwa, rzeźby i fotografii z okazji 30-lecia działalności Związku Artystów Plastyków oddział Poznań. Wystawa w pawilonie Akwarium potrwa do 22.07.2020 roku.

10.07
g. 22.00

PACZANEZGÓRY

czyli jest szansa, że może Ci się coś spodoba. Przyjdź, przekonaj się człowieku. Za darmo! (Pamiętaj, że tego nie ma już nigdzie.)
Wystawa plenerowa fotografii Lubośa Felczaka w ogrodzie Muzeum potrwa do 30.08.2020 roku.

24.07
g. 18.30

TRANSFORMACJA

Wystawa malarstwa Bogdana Stęperki.
Wystawa w pawilonie Akwarium potrwa do 30.08.2020 roku.

07.08
g. 19.00

PLAKAT MUZYCZNY

z kolekcji Janusza Pawłowskiego.
Wystawa w pawilonie Akwarium potrwa do 30.08.2020 roku.

Zwiedzanie: poniedziałek-czwartek 8.00-15.00, piątek - 15.00-22.00 oraz podczas trwania wydarzeń kulturalnych
WSTĘP WOLNY

Senior w MUZEUM ŚREM SKIE

28.06
g. 17.00



Sławomir Olgierd Kramm
i Ksenia Shaushyshvili



Agnieszka
Szymańska

26.07
g. 17.00



ALIQUOT



INTEGRANCI

Amfiteatr w ogrodzie Muzeum Śremskiego, wstęp wolny

Klasyka w MUZEUM ŚREM SKIE



Antonio Vivaldi
Lato

W programie
Antonio Vivaldi - koncert skrzypcowy "Lato", Antonio Vivaldi - koncert fletowy "Szczyptak"
Georg Friedrich Händel - Trio suita op. 2 nr 1, Antonio Vivaldi - aria "Laudate pueri"
Antonio Vivaldi - aria "Dumme Dumm", Antonio Vivaldi - aria "Cento Diletti", Georg Philipp Telemann - Kantata "Freude"

Wykonawcy
Katarzyna Holiysz - sopran, Łukasz Nawaczek - skrzypce barokowe, Ewa Biały - flet traverso,
Monika Woźniak - klawesyn, Marcin Bajon - viola da gamba

5.07. godz. 17.00, Amfiteatr w ogrodzie Muzeum Śremskiego, wstęp wolny

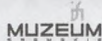
RETROSPEKCJE

WYSTAWA MALARSTWA, RZEŹBY I FOTOGRAFII
Z OKAZJI 30. LECIA ZWIĄZKU ARTYSTÓW PLASTYKÓW



5-21.07.2020 wernisaż - 5.07. godz. 16.00

Sala Wystawowa Muzeum Śremskiego, ul. A. Mickiewicza 89



transformacja
BOGDAN STYPEREK

WERNISAŻ
24.07. g. 18.30



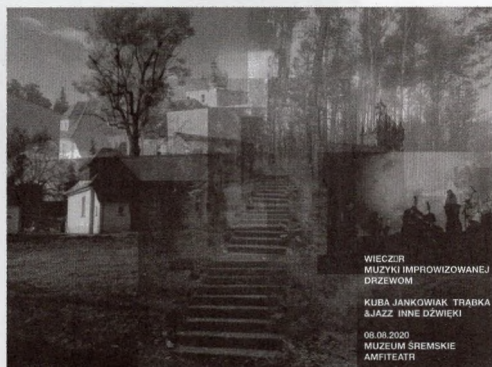
W SIERPNIU:

Wakacje w 
MUZEUM
ŚREMSKIE

01.07	MOJA BAJKA
08.07	WARSZTATY PLASTYCZNE
15.07	QUEST Z KS. P. WAWRZYNIAKIEM
20. 22. 24.07	WARSZTATY TEATRALNE
29.07	LIST W BUTELCE
05.08	QUEST Z KS. P. WAWRZYNIAKIEM
12.08	MOJA BAJKA
19.08	MOJE MIASTO
26.08	LIST W BUTELCE



DLA DZIECI OD LAT 7 / LICZBA UCZESTNIKÓW - 15 / POCZĄTEK ZAJĘĆ - o. 10.00 / KOSZT - 30 zł/osoba
szczegółowe informacje i zapisy: tel. 61 29 35 938, 607 755 207
www.muzeum.srem.pl / www.facebook.com/muzeum.sremskie



 **MUZEUM**
ŚREMSKIE

[facebook.com/muzeum.sremskie](https://www.facebook.com/muzeum.sremskie)
[muzeum.srem.pl](https://www.muzeum.srem.pl)

 **GAZETA**
[facebook.com/gazeta.srem](https://www.facebook.com/gazeta.srem)
andrzejbond@gmail.com

KONCERT: ROBERT KASPRZYCKI solo
NADMIAR
ANGRY BLUES

WYSTAWA: PLAKAT MUZYCZNY
Z KOLEKCJI LESZKA JANKOWSKIEGO

WYNAJEM OGRODU ŚREMSKIEGO OŚRODKA KULTURY



Śremski
ośrodek
kultury



- zakończenia roku szkolnego
- imprezy integracyjne
- imprezy urodzinowe



- **750 m² przestrzeni użytkowej**
- ceny już od 20 zł/osoba

Szczegółowe informacje

pod nr tel.: **889 647 418**

AKCJA LATO

lipiec 2020



SURVIVAL KIDS 29.06 - 03.07 godz. 10:00 - 12:00

zajęcia prowadzi: Daria Wyrzykowska-Ropińska

Zajęcia dla dzieci w wieku od 8 lat, teoretyczne i praktyczne, pozwalające dzieciom zdobyć umiejętności w zakresie samodzielnego radzenia sobie w trudnych warunkach z dala od cywilizacji. Uczestnicy będą mogli nauczyć się m.in. budowania szałasu, rozbijania namiotu, rozpalenie ogniska oraz udzielania pierwszej pomocy.

Koszt uczestnictwa: 150 zł / tydzień.

EDUTROPICIELE 06.07 - 10.07 godz. 10:00 - 11:30

zajęcia prowadzi: Wiesława Łabutka i Alina Glinkowska

EDUTROPICIELE to pięciodniowy cykl zajęć edukacyjnych skierowany dla dzieci w wieku 5 - 7 lat, gdzie każdy dzień będzie dotyczył działań warsztatowych w poszczególnych obszarach: rozwój społeczno - emocjonalny dziecka; natura i edukacja ekologiczna bliska dziecku; edukacja finansowa dla dzieci; przedsiębiorcze dziecko; edutropiciel nauca.

Koszt uczestnictwa: 80 zł / tydzień.

WARSZTATY KULINARNE 06.07 - 10.07 godz. 12:30 - 14:00

zajęcia prowadzi: Beata Bukowiecka

Zajęcia skierowane dla dzieci od 7 roku życia. Tematyka zajęć: od zniatarka do pizzierki, pierożki na słodko i na wytrawnie, wegetariańskie burgery, orzechowe wariacje, zdrowe słodycze.

Koszt uczestnictwa: 150 zł / tydzień.

PRACTICAL ENGLISH 13.07 - 17.07 godz. 10:00 - 11:30

zajęcia prowadzi: Katarzyna Wytwer

Zajęcia skierowane do dzieci w wieku 6 - 11 lat. Każdy dzień to inna tematyka i inne zabawy, gdzie w naturalnych sytuacjach, dzieci będą miały okazję nauki języka angielskiego.

Tematyka zajęć: zdrowe nawyki, klimat i recykling, sklepy i restauracje, zwierzęta od a do z, orientacja w terenie.

Koszt uczestnictwa: 120 zł / tydzień.

LABORAKI 20.07 - 24.07 godz. 10:00 - 11:30

zajęcia prowadzi: Marta Smolińska i Anna Szymkiewicz z firmy Laboraki

Zajęcia skierowane do dzieci w wieku 6 - 12 lat. Co Was czeka z Laborakami? Bedziecie mogli sami wykonać doświadczenia pokazujące fascynujące mechanizmy otaczającego nas świata. Będą kolorowe eksperymenty między innymi o wodzie, powietrzu czy stanach skupienia! Nie zabraknie też rakiet, nauki na świeżym powietrzu, wybuchów wulkanów ... i śmiechu.

Koszt uczestnictwa: 150 zł / tydzień.

ŚPIEWAJ RAZEM Z NAMI 27.07 - 31.07 godz. 10:00 - 11:30 i 12:30 - 14:00

zajęcia prowadzi: Julia Bartkowiak-Wojciechowska i Jacek Golimowski

Zajęcia będą odbywać się w dwóch grupach - początkującej (od 7 roku życia) w godzinach 10:00 - 11:30, oraz zaawansowanej w godzinach 12:30 - 14:00.

Dzieci w grupie początkującej będą pracowały nad emisją głosu, dykcją i artykulacją.

Grupa zaawansowana pozna sposoby tworzenia muzyki i pisanie tekstów do utworów; będzie doskonaliła swój warsztat wokalny.

Koszt uczestnictwa: 80 zł / tydzień.

Zapisy oraz szczegółowe informacje w Biurze Obsługi Klienta pod nr telefonu 889 647 418



Biblioteka

Publiczna im. H. Świącickiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

„W STARYM KNEDELKOWIE”

SPOTKANIE Z JOANNĄ KRZYŻANEK

2 LIPCA GODZ. 11:00

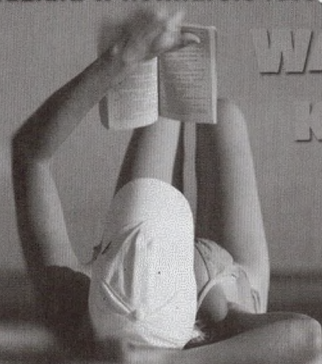
7 LIPCA GODZ. 11:00

INFORMACJA I ZAPISY:
WYPOŻYCZALNIA DLA DZIECI
LICZBA UCZESTNIKÓW OGRANICZONA



Biblioteka Publiczna w Śremie
zaprasza dzieci i młodzież do wzięcia
udziału w konkursie fotograficznym

WAKACJE Z KSIĄŻKĄ



Termin składania prac:
21 sierpnia 2020 roku
(wypożyczalnia dla młodzieży)



Regulamin konkursu
i formularz zgłoszeniowy:
www.biblioteka.srem.pl

Medi@teka



Zachęcamy do wypożyczania
**FILMÓW, AUDIOBOOKÓW,
 GIER PLANSZOWYCH**

Prosimy o zamówienia na adres:
 mediateka@biblioteka.srem.pl
 lub pod nr telefonu:
 61 28 35 467

Odbiór zamówień w dniu następnym



ŚREM
 W MAŁYCH
 MONOGRAFIACH
 5

Życie muzyczne
 w Śremie
 (1880-2012)

ŚREM 2012



**ZACHĘCAMY DO ZAKUPU WYDAWNICTW
 BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W ŚREMIE**

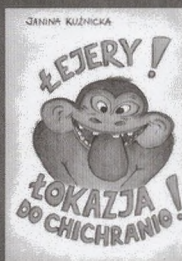
Jarosław Wawrzyniak "Śremska lista katyńska" - 20,-
 "Słownik biograficzny Śremu" cz. II - 30,-
 Janina Kuźnicka "Łejery! Łokazja do chichrania!" - 10,-
 Andrzej Łowicki "Śrem-miejsce namalowane słowem" - 8,-
 "Życie muzyczne w Śremie (1880-2012)" - 40,-
 "Słownik biograficzny Śremu" - 30,-

ZAPRASZAMY DO BIBLIOTEKI PRZY ULICY GRUNWALDZKIEJ 10
 ORAZ KSIĘGARNI PRZY RYNKU

ŚREM
 W MAŁYCH
 MONOGRAFIACH
 6

Śremska lista
 katyńska

ŚREM 2010



SŁOWNIK
 BIOGRAFICZNY
 ŚREM

SŁOWNIK
 BIOGRAFICZNY
 ŚREM
 Cz. II



Biblioteka



Dawny folwark przy pałacu. Psarskie k/Śremu, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Przystań nad Jeziorem Grzymistawskim,
fot. Łukasz Pietrzak
IV – Śremska gwara, proj. Samuel Bednarski

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841208, www.drukarniasrem.pl

TY
jest,
było,
TAK
się mówiło

ZAKŁAD PRZYRODOLECZNICZY

Budynek dawnego Zakładu Przyrodoleczniczego, powstałego w 1927 roku przy ul. Mickiewicza. W latach siedemdziesiątych Przychodnia Powiatowa. Obecnie znajdują się tu prywatne gabinety lekarskie i przychodnia Eskulap.



Fot. ze zbiorów Muzeum Śremskiego



Fot. Piotr Pieczykolan, 2019

ŠREMSKA GWARA

pory
z biglem

pory
z biglem

pory
z biglem

pory
z biglem

pory z biglem

spodnie
w kant



BY EWA NOWAK & SAMBŁ